ŻYCIE



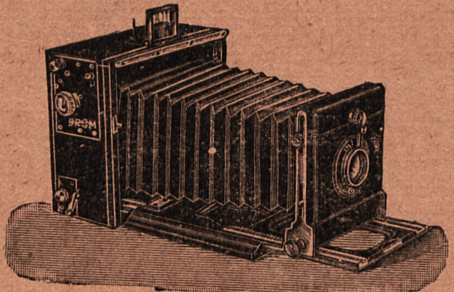
ROCZNIK II. ZESZYT XXVII.

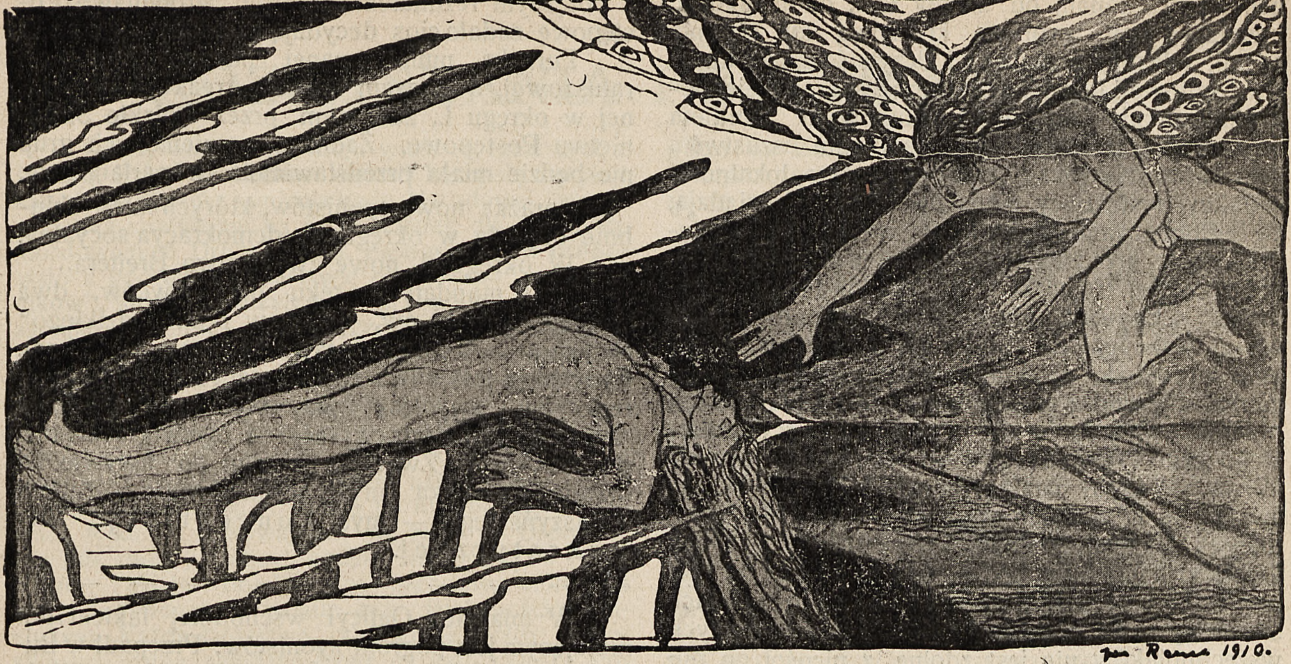
DNIA 1. LIPCA 1911 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor odpowiedz.: Dr. MARYAN KUKIEL.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA WE LWOWIE,
ULICA DĄBROWSKIEGO L. 2.

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ“
KURJERA LWOWSKIEGO“) LWÓW CHORĄŻCZYZNY 31.
WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA“.





ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

M. LELIWA.

DWUDZIESTY SZÓSTY CZERWCA.

Kto był w dniu 26. czerwca około 6. godziny wieczorem na rynku lwowskim, kto widział tłum kilkutysięczny, z zapartym tchem niejako oczekujący na wynik wyboru, z oczyma utkwionemi w bramę ratuszową, kto słyszał ciche, gorączkowe szepty: „jakie szanse? dobre? chwała Bogu"!, kto odczuł ten ogrom gorącego, głębokiego uczucia, wzruszenie dziwne, jakie unosiło się nad tą masą ludu pracującego, mieszczaństwa, młodzieży — ten nie będzie patrzał na zwycięstwo kandydata postępowego w pierwszym okręgu stolicy, jako na zwykły epizod walki międzypartyjnej. Tutaj starła się z uosobioną reakcyą, uzurpacyą, przemocą potężna fala wyzwoleńcza, ogarniająca społeczność naszą. Na ten okręg pierwszy zwrócone były oczy całego Lwowa — więcej — całego kraju i więcej jeszcze — oczy Polski. Taką była waga tej bitwy. Tak oceniła ją prasa obu obozów. Tak odnosiły się do niej dzienniki — więc z jednej strony i lwowski „Wiek Nowy", „Kuryer lwowski", „Głos", a także „Gazeta Poranna", i krakowska „Nowa Reforma", i warszawski „Kuryer Poranny" — więc z drugiej strony poważny organ bloku nacyonalistycznego, „Gazeta Narodowa". Prasa wyraziła tym razem wiernie nastrój opinii narodowej. Zjednoczona reakcya wystąpiła tu do pojedynku ze zjednoczeniem wszystkich żywiołów postępowych, wolnościowych, patryotycznych... Wystąpiła i przegrała sromotnie. Inżynier Śliwiński otrzymał olbrzymią większość, dwie trzecie głosujących prawie, 1562 głosy przeciw 907 głosom prof. Ludwika Rydygiera.

A pracowała na tych 907 głosów koalicya arcybiskupa, kapituły rzymskiej, zakonów, kongregacyi z wpływami rządowymi i z narodowo-demokratyczną techniką wyborczą. Trzy stronnictwa t. zw. bloku narodowego — katolicko-narodowe, mieszczańskie i wszechpolskie znowu w ordynku wyruszyły na bój. Ciemnego reakcyonistę, wroga kultury, osławionego przeciwnika praw kobiecych na uniwersytecie, pasowano naraz na światłego patryotę. Zażartego konserwatystę kreowano demokratą. Naiwnego panslawistę, skompromitowanego uściskami Bobrińskich i Wergunów, wystawiono za bohatera narodowego. Przeciwnika odsądzano od czci i wiary politycz-

nej, od przekonań, od służby idei, od polskości; urządzano nań wyprawę krzyżową ku obronie religii, własności, rodziny i oczywiście narodu.

Agitowali liczni księża, bezczeszcząc niejednokrotnie suknię duchowną plugowym handlem wyborczym, terrorem lub pospolitem oszustwem przy urnie. Na lokale wyborcze użyto lokalności sodalicyi i strażnicy miejskiej. Gorzej. Powiadają, że legitymacyami operowano w zakrystyi katedralnej, że przedsionek świątyni uczyniono miejscem niecnej frymarki. Stu kilkudziesięciu młodzieży z Czytelni akademickiej oddało się na usługi reakcyoniście. Słuchaczy medycyny niewolono wprost do działalności wyborczej za Rydygierem zapomocą groźnych insynuacyi i kuszących obietnic. Metody walki kandydata arcykatolickiego czuć było niekiedy kryminałem. I to wszystko na to, ażeby fatalną porażką jawnie okazać światu, że w wielkich miastach polskich nie masz miejsca dla wstecznictwa klerykalnego, że t. zw. katolicyzm bojujący jest u nich nicością i że całe poparcie wpływowej w sferach mieszczańskich strzelnicy, oraz potężnych w sferach urzędniczych wszechpolaków nie jest zdolne z nicości go podźwignąć.

Po stronie kandydata Polskiego Stronnictwa Postępowego była potęga entuzyazmu, wiary w lud, sojuszu z ludem. Poszła za nim większość inteligencyi i mieszczaństwa polskiego, ławą poszli robotnicy z tym samym zapałem, z jakim pracowali gdzieindziej dla swojej partyi socyalnodemokratycznej. Ale na uwagę szczególną zasługuje wspaniała akcya młodzieży postępowej. Kilkudziesięciu studentów przez szereg dni od wczesnego rana do późnego wieczora, bezinteresownie, z poświęceniem pracowało dla zwycięstwa idei patryotyzmu i postępu. W dzień wyborów, stu przeszło pełniło służbę od wczesnego ranka, ścigając niemiłosiernie płatnych łotrzyków wyborczych, tropiąc nory korupcyi, zastanawiając w ruchu całą machinę nadużyć wyborczych. Poseł Śliwiński jest w ogromnej mierze wybrańcem młodzieży postępowej polskiej. Chciała ona mieć w nim obrońcę i śmiałego orędownika sprawy postępu społecznego, braterstwa ludów, niepodległości Polski. I nie dozna zawodu.

Ukończono wybory w stolicy. Czas zrekapitulować ich wyniki.

Porażka demokracyi narodowej. Poniosła ona cios z rąk socyalnej demokracyi i Polskiego Stronnictwa Postępowego. Socyaliści odparli świetnie atak wszechpolski w okręgu VII, sami atakowali piękną, ideową walką stan posiadania wszechpolski w okręgach IV., i VI., i atakowali z potężnym rezultatem. Polskie Stronnictwo Postępowe zadało cios decydujący, zdobyło okręg V.

Porażka umiarkowanej pseudo-demokracyi ratuszowej, a zarazem i klęska reakcyi klerykalnej w okręgu I., zdobytym przez Polskie Stronnictwo Postępowe. Żadna z wymienionych grup nie będzie miała przedstawiciela w parlamencie.

Porażka nowa syonistów, których atak chlubnie odparła w okręgu III. demokracya socyalna.

W okręgu II. nowe zwycięstwo Breitera.

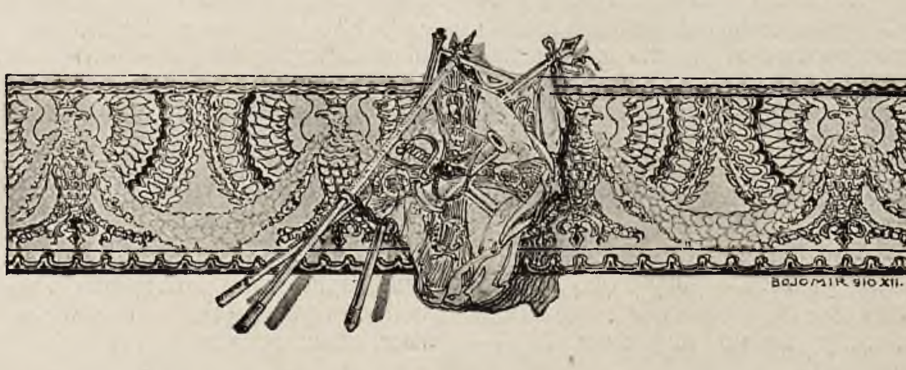
Dwa mandaty w ręku postępowców, dwa w ręku socyalistów, jeden w ręku „dzikiego" radykała — dwa zostawione wszechpolakom. Radykalną jest nowa reprezentacya Lwowa. Blok reakcyjny, zwycięski przy wyborach do Rady miasta, pogromiony wyszedł z ognia głosowania powszechnego. Zwycięża znowu po upływie lat dziesięciu wielka myśl Romanowicza, Rottera i Daszyńskiego — myśl koncentracyi demokratycznej.

— — — — — — — — — — —

W miastach Galicyi wschodniej faktem dominującym jest pogrom syonistów. Przepadł w Buczaczu Ringel przeciw Sternowi, który w Kole Polskiem kontynuować będzie tradycyę Stohandlów, Wiącków etc. Przepadł w Stryju Reich, b. redaktor „Wschodu", przeciw wybitnemu socyaliście polskiemu, Moraczewskiemu. W okręgach wiejskich pogromieni moskalofile. Dwaj tylko, jak się zdaje, pojadą bronić „Rosyi przykarpackiej" nad Dunaj.

Socyaliści zdobyli mandat 7-my, 8-my i 9-ty; jeśli liczyć Piotra Cingra, Czecha z pochodzenia, który na Ślązku ponownie wybrany głosami robotników polskich, do polskiego klubu przystąpi. Narodowi demokraci zdobyli mandat szósty: przeszedł hr. Skarbek w okręgu wiejskim Sambor-Rudki dzięki energicznemu poparciu Breitera, rewanżującego się za Lwów II i za Złoczów.

Znaczenie polityczne ma upadek hr. Starzyńskiego w Sokalu. Walczyli tam ze sobą dwaj konserwatyści. Jeden — kandydat Rady Narodowej; drugi, dr. Steinhaus, kandydat namiestnikowski. Hr. Starzyński reprezentował bojujący konserwatyzm typu podolskiego. Wybrany, człowiek dużych zdolności, polityk wytrawny, byłby mężem zaufania wszechpolaków i pretendentem z ich ramienia do buławy regimentarskiej i do teki. Koło traci w nim siłę wybitną, ale reakcya traci w nim najtęższego przywódcę parlamentarnego. Dla utorowania drogi polityce zgody narodów upadek Starzyńskiego był nieodzowny. Żegnamy w nim wroga, ale poważnego i dzielnego męża stanu.



W. LIS.

ROZMYŚLANIA POWYBORCZE.

Grozą wionęła po kraju wieść o rzezi drohobyckiej. Przed majestatem śmierci korzą się wszyscy, nawet kandydaci z ramienia Rady Narodowej, których nazwiska spotykamy na liście składek dla rodzin zamordowanych Drohobyczan. Paru pismaków próbowało z początku przedstawić ofiary jako „awanturników", którzy zasłużyli na swój los, ale i ci wkrótce zamilkli Szczerze czy nieszczerze — wszyscy rzeź potępiają, ubolewają nad poległymi, doszukują się sprawców — nawet wtedy, gdy ci sprawcy znajdują się we własnym obozie piszących.

I „zagranica" zatrzęsła się od oburzenia. „Wybory galicyjskie" zawsze miały u wielu smutną sławę; po zajściu drohobyckiem nabędą one opinii zupełnie określonej. A opinia ta nie będzie stosowana tylko do winowajców, nie tylko do Drohobycza lub choćby Galicyi, będzie ona opinią o całej Polsce. Taki jest bowiem los narodów, które nie mogą zaimponować światu swą działalnością państwową. Każde łajdactwo, popełnione przez jednostkę lub grupę, składane bywa na karb całości. Ponieważ zaś „Europa" zajmuje się nami zwykle wtedy, gdy się czegoś domagamy, więc możemy być pewni, że przy naszych przyszłych rewindykacyach spotkamy się nieraz z pogardliwem wzruszeniem ramion: „ci Polacy żądają czegoś; niechże naprzód przestaną mordować swych własnych wyborców!" A gdyby ludzie zaczęli o tem zapominać, to zawsze znajdzie się jakiś moskalofil ruski, syonista żydowski, hakatysta pruski lub „socyaldemokrata Królestwa Polskiego", który powyższego argumentu — i w tej właśnie formie — użyje.

Z łatwością mógłbym wymienić szereg innych przyczyn, natury etycznej, politycznej, prawnej, które nakazują oburzać się na to, co zaszło w Drohobyczu. Czynić tego jednak nie będę, gdyż zostało to dokonane przez wielu innych. W dodatku, nie należy sądzić, że strzelanie do ludzi jest jakąś specyalnością galicyjską. Wojsko strzela, nie zawsze przy wyborach, ale n. p. podczas strejków, i we Francyi i w Anglii i nawet w Szwajcaryi, a jednak radzi bylibyśmy, gdyby u nas zapanowały stosunki polityczne szwajcarskie lub angielskie. Strzelanina drohobycka nie była środkiem represyjnym, zastosowanym specyalnie do Drohobycza. To samo mogło nastąpić i we Lwowie i w Krakowie i w tuzinie miejscowości prowincyonalnych, do których wezwano wojsko. Sam widziałem, jak osiwiali robotnicy w Krakowie, przed Strażnicą, jedną ręką do ust podnosili gwizdawki, by protestować przeciwko liczeniu za Petelenzem głosów na Daszyńskiego, drugą zaś chwytali za kark niedorostków, ciskających w dragonów gałęziami i grudami ziemi. A od kilku takich grudek więcej lub mniej, od zabłąkanego między niemi kamienia, zależy salwa, któraby w zbitej masie, zalegającej Planty krakowskie, położyła dziesiątki ofiar. Więc salwa drohobycka była tylko jaskrawym przejawem s y s t e m u i kto nie chce u nas ofiar ludzkich w przyszłości, ten powinien dążyć do zmiany stosunków, które je wywołują,

Całokształtu tych stosunków nie będę również charakteryzował; na to wystarczyłby zaledwo gruby tom, nie artykuł w tygodniku. Pominę zatem i wysoki wiek wyborców i skandaliczną nierówność okręgów i wiele, wiele innych rzeczy, a zwrócę uwagę tylko na parę szczegółów, które wyciskają na „wyborach galicyjskich" piętno zupełnie swoiste.

Otóż przedewszystkiem w kraju naszym n i e g ł o s u j ą w y b o r c y, a l e l e g i t y m a c y e.

Jest to stosunek, którego nie spotyka się nigdzie na Zachodzie, a i w Austryi, w innych prowincyach, przejawia to się tylko sporadycznie. Jak się to dzieje?

Legitymacye wyborcze wydawane są bardzo późno, często na kilka, nawet na parę dni przed wyborami. Gdy tylko wydawanie ich się rozpocznie, po okręgu rozbiega się cała armia „hyen", czyli płatnych agentów kandydatów partyi umiarkowanych lub wręcz konserwatywnych, wogóle tych partyi, które rozporządzają wielkimi funduszami. „Hyeny" te , rekrutowane z prawdziwych szumowin społeczeństwa, zwracają się do wyborców wcale nie z perswazyą, nie z zasadniczymi jakimiś argumentami, ale zupełnie z czem innem. Proponują one odstąpienie legitymacyi za pieniądze, lub grożą represyami. Na jednego działa groźba egzekucyi podatku, na drugiego wymówienie mieszkania, najczęściej — utrata zajęcia lub strach przed „sekowaniem" ze strony pracodawcy. Często bardzo legitymacya wydawana jest hyenie przez żonę, pozostającą w domu, gdy mąż jest przy pracy, żonę zwykle od męża ciemniejszą i mniej politycznie wyrobioną. Jednak najzwyklejszym środkiem są pieniądze. Począwszy od 5 koron cena legitymacyi wzrasta powoli i dochodzi czasami do kor. 60, nawet 80 — t. j. sumy kolosalnej w zestawieniu z płacami i zarobkami galicyjskimi. W niektórych wypadkach legitymacye wprost wręczane są przełożonym pewnych instytucyi, którzy zatrzymują je i oddają zaufanym sobie ludziom.

Co mają wobec tego robić kandydaci opozycyjni? Nie mogąc być niemymi widzami wyłudzania legitymacyi od tego elementu, na którym opiera się przeważnie wszelka opozycya, udają się oni do wyborców, którzy im sprzyjają i biorą ich legitymacye do przechowania w tem przeświadczeniu, iż jedynie w ten sposób zapewnią je przed wykradzeniem, wyłudzeniem lub kupieniem przez hyeny.

Ale i to — oprócz złych skutków, o których niżej — ma to swoje słabe strony. Hyeny na czas wyborów przedzierzgają się w członków partyi opozycyjnych, wykradają lub podrabiają ich odznaki i karty członkowskie, stają się stosownie do potrzeby socyalnymi demokratami, bezwyznaniowcami, talmudycznymi żydami czy Rusinami najróżnorodniejszego autoramentu, byle dopiąć celu. I podczas gdy w gazetach czytamy ciągle o „okręgu zagrożonym narodowo", gdy rzeki atramentu leją się dla wykazania, iż prawdziwym przedstawicielem idei narodowej jest kosmopolityczny hrabia, czarno-żółty minister, aferzysta kahalny lub wszechpolak, który wczoraj jeszcze ściskał prawicę Bobrinskiego — jednocześnie w praktyce przy „obrabianiu" wyborców to wszystko znika: działa zaś pieniądz, groźba lub zwyczajne oszustwo.

Przychodzi wreszcie dzień wyborów. Wyłudzone legitymacye muszą być zużytkowane. Zwracać się w tym celu do wyborców, od których je kupiono lub wydarto — byłoby zbyt ryzykownem Działają zatem znowu hyeny: urządza się garderoby gdzie żyd hałaciarz przedzierzga się raz w profesora uniwersytetu, drugi raz w mularza, potem w nauczyciela ludowego. Czasem i tego nie potrzeba; liczy się wprost na przychylność członków komisyi wyborczej, która większością głosów orzeka, że dany właściciel legitymacyi jest rzeczywiście t,m, za kogo się podaje. Aby to ułatwić, hyena pokazuje. dyskretnie rożek karty legitymacyjnej swego komitetu, przypina sobie czarną agrafkę — jak na Wesołej — itp.

Stronnictwa opozycyjne są w lepszem położeżeniu. Opierając się na ludziach, którzy nie są kupieni, ale działają z przekonania, mogą one zmobilizować większą ilość prawdziwych wyborców, którzy przychodzą po swoje własne legitymacye i głosują za niemi. Ale przy powszechnem panowaniu systemu głosowania legitymacyi, nie wyborców — i tu nie jednemu wyborcy nie zechce się przyjść, inny musiałby narazić się na jakąś drobną przykrość i też woli siedzieć w domu lub przy pracy, a legitymacya jest, znajduje się w ręku oddanego członka partyi. Cóż z nią zrobić? Idzie się więc i głosuje się na nią.

W ten sposób wytworzyła się w Galicyi atmosfera pobłażliwości dla głosowania pod fałszywem nazwiskiem. I dopóki ona będzie istnieć, walka ze stronnictwami, które walczą pieniądzem, nie ideą, będzie bardzo utrudniona. Przy rozstrzygających wyborach w Niemczech, Francyi, Anglii, przynoszeni bywają do biur wyborczych ludzie chorzy, na noszach, prowadzeni bywają inwalidzi; ktoby tam u nas zadawał sobie tyle trudu, kiedy to samo zrobić może pierwszy lepszy przyjaciel polityczny wyborcy! Znane są anegdotki o lordach angielskich, którzy musieli zapalać fajki kowalom, lub pisać listy ich żonom, dla uzyskania głosów: nasz lord, jeżeli co pisze, to czek dla oberhyeny.

Lekarstwa jakiegoś niezawodnego na zaradzenie temu złemu nie wskażę. Do pewnego stopnia pomogłoby udzielenie agentom partyi politycznych większego prawa kontroli nad całą procedurą wyborczą, choćby to miało pociągnąć za sobą zwiększone koszta, jak w Anglii. Tacy ludzie patrzyliby sobie wzajemnie bardzo uważnie na palce, a mając stanowisko półurzędowe, mogliby zapobiec niejednemu nadużyciu. Zapobiegłoby się może n. p. skandalicznemu wystawianiu legitymacyi na nieboszczyków, więźniów i t. d., albo wydawaniu, pod koniec dnia wyborczego nie zareklamowanych legitymacyi hyenom. Ale nie zostałyby na pewno zniesione wszystkie nadużycia.

Skuteczniejszym, ale wymagającym czasu środkiem może być tylko wyrobienie pod tym względem opinii publicznej. Gdyby hyena wiedziała — i miała sposobność to sprawdzić, że grozi jej przy wyłudzaniu legitymacyi zrzucenie ze schodów lub wydanie w ręce policyi, to nie byłaby ona tak bezczelną. A gdyby nawet agenci policyi zechcieli takich im wręczanych osobników wypuszczać, to mogliby to robić w wypadkach kilku, kilkunastu, lecz nie przy masowem zwracaniu się do nich.

Będąc we Francyi, obcowałem często z robotnikami. Nie tylko nie spotykałem się tam z handlem legitymacyami, ale co mnie uderzało, to zazdrosna ostrożność, z jaką wyborcy, zwłaszczcza młodsi, kryli się z tem, na kogo będą głosować. Starsi, często znani powszechnie ze zgromadzeń publicznych, nie czynili tego, ale młodzi zwykle nie chcą powierzyć nawet koledze warsztatowemu tajemnicy, na kogo idą głos swój oddać, tembardziej legitymacyi.

W Anglii, Francyi, Szwajcaryi w dzień wyborów komitety pracują gorączkowo, ulice wszystkie pełne są pędzących dorożek, automobilów, ale to wszystko dąży po wyborców. Komitety stale otrzymują informacye, kto głos swój oddał i sprowadzają spóźniających się. U nas też pędzą dorożki, ale jeżeli się postoi przed biurem wyborczem pewien czas, łatwo się przekonać, że z dorożek wysiadają ciągle ci sami ludzie.

Reformy w duchu powyższym dokonać mogą oczywiście tylko partye opozycyjne. Nie nastąpi ona odrazu, ale wytężyć usiłowania w tym kierunku warto. Zwłaszcza dużo mogłyby tu zdziałać stowarzyszenia zawodowe, które powinnyby wyrabiać odpowiednie zasady i zobowiązywać członków moralnie do czynnego sprzeciwiania się wszelkim próbom korupcyi.

Drugie nadużycie, na które pragnąłbym zwrócić uwagę, jest panujący w całej Austryi, ale bardzo oryginalnie w Galicyi stosowany system kart głosowania. Pobudki, dla których w niektórych krajach zaprowadzone zostały urzędowe karty głosowania, były bardzo piękne. Pozwolenie każdej partyi politycznej drukowania własnych kartek doprowadza do nadużyć. Ustawa przepisuje zawsze, by papier, użyty do tych kartek był biały, dla zapewnienia tajemnicy głosowania. Ale papier zwany białym nie zawsze bywa biały, owszem zwykle ma odcień szary, siwy lub żółty. I gdy nazwisko kandydata rządowego zostanie w nocy przed wyborami wydrukowane na kartkach żółtawych lub lekko prążkowanych, podczas gdy opozycyonista użył zwykłego, szarawego, taniego papieru, to kartka zdradza, na kogo wyborca głos oddaje. Kartka urzędowa nie ma tych braków. Ale cóż ma robić stróż kamienicy, któremu właściciel domu własnoręcznie przybił stampilię z nazwiskiem swego kandydata na kartce? Zapewne, może udać się do urzędu i zażądać drugiej kartki. Ale czy każdy wyborca ma czas i ochotę, by to zrobić?

Tu zaradzenie złemu byłoby daleko łatwiejsze. Wystarczyłoby wprowadzenie przepisu prawnego, któryby upoważniał każdego kandydata do otrzymywania takiej ilości kartek do głosowania, jaka mu jest potrzebna. Wtedy dopiero istniałaby gwarancya, iż każdy wyborca obok kartki narzuconej mu, posiadać będzie swoją własną. Wtedy tu nie działyby się takie nadużycia, jak to, które zostało wykryte, gdy policya, po wkroczeniu do lokalu komitetu w pałacu spiskim w Krakowie, znalazła tam 4 pakiety po 100 kartek do głosowania, podczas gdy kandydat opozycyjny nie mógł uzyskać ani jednej.

Z pomiędzy setek sposobów fałszowania opinii publicznej przy wyborach w Galicyi wybrałem tylko dwa, ale one wystarczają dla wykazania, że oburzenie wyborców w dniu wyborów musi być u nas stałem zjawiskiem. I dopóki nie wywalczymy sobie zniesienia tych nadużyć, dopóty zawsze grozić nam będą salwy i trupy...



HENRYK MAURER.

„PIĄTY" CHÓR „LILLI WENEDY". *)

Że wzorowe wydanie dzieł powinno zawrzeć (w „Dopełnieniach" czy „Przypisach") nie tylko waryanty utworów, lecz także wskazówki co do miejsc, pozostających z danym utworem w uderzającem przynajmniej powinowactwie — to wydaje mi się rzeczą niewątpliwą. Ale za niewątpliwszą jeszcze uważałbym potrzebę umieszczania obok siebie utworów, wymagających tego, aby mogły być należycie zrozumiane. W pełnych wydaniach możnaby się zapewne tylko powołać na rzecz, już gdzieindziej wydrukowaną; w luźnej jednak lub niezupełnej edycyi łączne ogłaszanie utworów, treścią ściśle do siebie należących, przedstawia mi się jako konieczność. Samo bowiem powołanie się w tym wypadku przy jakimś utworze na inny, do jego zrozumienia niezbędny, będzie często niewystarczające, choćby dlatego tylko, że ktoś może tego niezbędnego utworu nie mieć — w najodpowiedniejszej właśnie chwili — pod ręką.

Uwagi te odnoszą się szczególnie do „Lilli Wenedy" i „Grobu Agamemnona". Albowiem są to właśnie takie rzeczy, których odłączać od siebie niepodobna bez szkody dla właściwego ich zrozumienia.

Już dr. Tadeusz Sinko, omawiając w „Słowie Polskiem" z 17 czerwca 1909 № 279 wydanie dzieł Słowackiego, dokonane przez pp. B. Gubrynowicza i W. Hahna, poruszył myśl, że „Grób Agamemnona" należy drukować razem z „Lillą Wenedą". Myśl tę jednak posunął za daleko. Uznał bowiem, że miejsce dla tego wiersza jest nie gdzieindziej, jak tylko przy „Lilli Wenedzie", w szczególności nie w „Podróży na Wschód", gdzie go pierwsi wydawcy całości dzieł Słowackiego (dotychczas znanej) umieścili. W rzeczywistości zaś „Grób Agamemnona" ma prawo do figurowania przedewszystkiem w tym poemacie, mianowicie w jego pieśni ósmej, t. j. właśnie tam, gdzie go ogłosili wszyscy, o ile wiem, wydawcy dotychczasowi (a więc nie tylko zaatakowani przez p. Sinkę pp. Gubrynowicz i Hahn, ale także p. A. Górski, z dawniejszych zaś pp. A. Małecki i J. Amborski). Utwór ten bowiem jest nade wszystko inne — zarówno w treści jak formie — fragmentem „Podróży na Wschód". — Oprócz tego p. Sinko właściwie nie uzasadnił swego żądania, by „Grób Agamemnona" wiązać z „Lillą Wenedą". Przynajmniej nie uczynił tego należycie. Położył bowiem nacisk na to, czem ten wiersz dla „Lilli Wenedy" miał być (i to — trzeba dodać — rzekomo według pierwotnego planu Poety), zamiast na to, czem on faktycznie został dla niej i jest. Zaś przecież tylko to ostatnie może mieć tutaj znaczenie rozstrzygające.

* * *

Słowacki, wydając w 1840 r. swój „ułamek z greckiej podróży" wraz z „Lillą Wenedą", zrobił to z całą świadomością i rozmysłem. Chciał, aby ten wiersz zastąpił ostatni, piąty chór tragedyi, którego, jak wiadomo, brakuje. W „Liście II. do Autora Irydiona", stanowiącym wstęp do „Lilli Wenedy", mamy wyraźne tej świadomej chęci Poety potwierdzenie. Pomijam już, że „mary" Wenedów zwracają się tam do niego z prośbą, aby mówił o nich „prosto i z krzykiem", jako do tego właśnie, którego widziały „w ciemnym Agamemnona Grobowcu", i tego, który jechał „niegdyś brzegami laurowego potoku, gdzie Elektra, królewna płótno bieliła matczyne". Ale Słowacki sam zaznacza w owym wstępie, że „wiersz o Termopilach" czyli „Grób Agamemnona" umieścił „na końcu księgi" „niby chór ostatni śpiewany przez poetę". Wiersz ten wprawdzie w tomie z r. 1840 nie łączy się bezpośrednio z „Lillą Wenedą", bo przegradza go od niej „List do A. Hołyńskiego". Jednakże i wzmianka o nim we wstępie do tragedyi i określenie go jako ostatniego chóru, którego właśnie brak „Lilli Wenedzie", świadczy dostatecznie o wiązaniu się jego ścisłem w myślach Poety z tą tragedyą. Przemawia zresztą za tem także fragment listu II. do autora Irydiona, stwierdzający, że Słowacki zamierzał pierwotnie umieścić „Grób Agamemnona" „na wstępie" do „historyi" Wenedów. Na ten fragment już p. Sinko zwrócił uwagę, myślę jednak, że nie zawadzi zacytować z niego całej odpowiedzi Poety na wspomnianą już wyżej prośbę mar wenedyjskich, bo cała mówi dużo więcej i wyraźniej, niż kilka tylko jej zdań końcowych, przytoczonych przez p. Sinkę. Brzmi ona tak:

> „O mary, wiecież wy, o czem ja myślałem, siedząc w Agamemnona grobowcu i jadąc brzegami Elektry potoku... wiecież wy, jakie gorzkie rymy i gorzkie porównania drgały mi na ustach gniewliwych? Mamże na wstępie do waszej historyi położyć tę o bliższem nieszczęściu piosenkę: oto jest w pół zatarta, ołówkiem bladym na karcie podróżnika spisana... Mamże przed odsłonieniem teatru rozpędzić zgrożonych słuchaczy — ha! niech się stanie... Oto są rymy, których przed przeszłością żąda teraźniejszość! Słuchajcie Wenedów harfiarza...!" (Gubrynowicz. „Dzieła Juliusza Słowackiego". T. I. 394.).

Bez żadnej więc wątpliwości Słowacki chciał początkowo zespolić „Grób Agamemnona" z „Lillą Wenedą" bardzo ściśle. Czy jednak w formie „prologu" do niej, jak powiada p. Sinko, wcale mi się nie zdaje. A nie zdaje mi się dlatego, bo przecież właściwy prolog do tragedyi już istniał i bo tę „o bliższem nieszczęściu piosenkę" wypowiedzieć miał „Wenedów harfiarz" czyli piewca Wenedów, t. j.

*) Taki napis daję artykułowi, który pod tytułem: „Jak należy wydawać Lillę Wenedę i Grób Agamemnona?" przygotowałem jeszcze w r. 1909 na Zjazd historyczno-literacki im. J. Słowackiego we Lwowie. Nie wydrukowano go w „Księdze pamiątkowej" tego Zjazdu wśród innych referatów, ponieważ nie został na posiedzeniu odczytany. Obecnie ogłaszam go, w przekonaniu, że i w zasadniczą kwestyę ścisłego związku między „Grobem Agamemnona" a „Lillą Wenedą" artykuł mój wnika głębiej, aniżeli wszystkie, znane mi, a późniejsze od mojej, prace, które tej kwestyi dotykały, i postulaty, ugruntowane przezemnie w tej kwestyi zasadniczej, zasługują na to, aby były poddane rozwadze osób, do ich zrealizowania powołanych. W końcu niech mi wolno będzie zauważyć, że pewne myśli, nawiasowo w mej rozprawce rzucone, w szczególności myśl o „Lilli Wenedzie", jako drugiej części „Trylogii", rozpoczętej „Kordyanem", są moją zdobyczą oryginalną. Chociaż bowiem wyprzedzono mnie z ich publikacyą (w warszawskim „Sfinksie"), w rzeczywistości zawierał je już mój artykuł z lipca 1909, drukowany teraz bez żadnej zmiany — prócz dodania ostatniego ustępu (o wystawianiu „Lilli Wenedy" na scenie).

sam Słowacki — w ramach listu do Krasińskiego. Poeta więc zarzucił myśl umieszczenia „Grobu“ w tym liście, nie, jak sądzi p. Sinko, „aby nie rozpędzać słuchaczy“, lecz najprawdopodobniej, ponieważ spostrzegł, że czyniąc tak, postąpiłby niewłaściwie. Wszak list swój adresował nie do tych „słuchaczów głuchych“, dla których jego dotychczasowe utwory — „harfy“ czyli utwory symboliczne (jak „Anhelli“, „Trzy poematy“, po części „Dantyszek“, „Balladyna“) były „nieme“ i do których z tego powodu postanowił przemówić „biczem“ „Grobu Agamemnona“, lecz do człowieka „z platońską i attycką uwagą“, którego sama „Lilla Weneda“ miała moc „obrócić na niebo oczyma“. Jakże więc wobec tego wyglądałby „Grób Agamemnona“ w tym liście do Krasińskiego, ze słowami zwłaszcza przedtem: „Słuchajcie Wenedów harfiarza“, skierowanemi, co prawda, formalnie do „mar“ wenedyjskich, ale w rzeczywistości dla „słuchaczów głuchych“ przeznaczonemi! Wypadałoby zresztą Poecie w takim razie zmienić chyba odpowiednio początek wiersza. Bo ten początek, całkiem dobry w „ułamku z greckiej podróży“ lub po fantastycznie nastrojonej „Lilli Wenedzie“, byłby mniej właściwy w wierszu luźnym, jakiego charakter przybraćby powinien użyty jako odpowiedź proszącym „marom“. Słowacki — wbrew wszelkim twierdzeniom różnych krytyków o jego „nierozważności“ czy „niedojrzałości“ jego pomysłów — był artystą niezmiernie rozważnym właśnie, „mądrym artystą“, jakby go nazwał Maurycy Mochnacki.

Lecz Poeta myślał o ścisłem połączeniu „Grobu Agamemnona“ z „Lillą Wenedą“ nie tylko w chwili, gdy ją chciał nim poprzedzić, ale i później jeszcze, już po wyznaczeniu mu miejsca jako piątemu jej chórowi. Dowód, że był czas, kiedy zamyślał nadać mu ten charakter także formalnie, t. j. umieścić go zaraz po tragedyi, znajdujemy w autografie listu II. do autora „Irydiona“. Tam zamiast dzisiejszego: „na końcu księgi“ było przedtem: „(przy) końcu (Lilli Wenedy)“, jak podaje p. Gubrynowicz, wydawca I. tomu „Dzieł“, na str. 393. X. Dlaczego Słowacki nie wytrwał przy tym zamyśle, nie tu miejsce dochodzić. Niewątpliwie jednak nie dlatego, żeby chciał zatrzeć ślad ścisłego w myślach swoich związku między „Grobem Agamemnona“ a „Lillą Wenedą“, skoro przecież tak wyraźne aluzye do tego związku bądź co bądź pozostawił we wstępie do tragedyi. (D. n.)



FELIKS GWIŻDŻ.

Z NOWYCH POEZYI.

UŚMIECHEM UST POPROSZĘ WAS...

Gdy przyjdzie czas, gdy przyjdzie czas,
Gdy na krzyż ręce złożę —
Uśmiechem ust poproszę was
Ostatni raz, ostatni raz
O ciche, polne łoże.

Nie żyję rad, nie żyję rad
W życiowych spraw rozgwarze —
W dorobku mam obszary strat,
W ubytku świat, przedziwny świat,
O którym martwo marzę.

Nie żyję tak, nie żyję tak,
Jak wy, rówieśni moi —
Żaden mnie krzyż ni żaden znak,
Nie wiedzie mnie utarty szlak
Do rajskich gdzieś podwoi.

Samotnym jest, i idę sam,
Goryczą pojąc serce —
Lecz, że was tak cudownie znam,
Więc daję wam bolesny kłam,
Uśmiechy przeniewierce.

I jest nam tak niezgorzej — cóż?
Nieprawdaż-to, sąsiedzi?
Jesteście mi, jak Anioł Stróż,
Rachując kolce u mych róż,
Wskazując je gawiedzi.

O dzięki wam, że macie czas
Prostować me bezdroże —

Gdy pójdę stąd poproszę was
Uśmiechem ust — ostatni raz —
O ciche, polne łoże...

PRZYJDĘ DO WAS...

Przyjdę do was. Wiem w sercu, że powrócę jeszcze
Cichym zmierzchem, po latach, gdy wy przygarbieni
Głucho liczyć będziecie dni waszej jesieni,
Wsłuchani w marsz żałobny, grany wam przez deszcze.

Przyjdę do was. I oczom swym nie uwierzycie,
Że to właśnie ja jestem, że to ja przychodzę;
I posiedniecie rzędem przy kamiennej drodze
I będziecie mnie pytać, jakom przeżył życie...

A ja stanę przed wami z wieńcem róż na głowie,
Z puharem pełnym wina i z uśmiechem boga —
I opowiem wam, jaka była moja droga
I pokażę wam serce...
Krew resztę wam powie...

TWE OCZY.

Twe oczy smutne, jak jesień,
Jak jesień już konająca...
Nigdy nie powiem ci o tem,
Żem je przyrównał do słońca.

Patrzę w nie ciągle, bez końca,
Jak w ciche zmierzchu otchłanie
I wszystko jest mi już jedno,
Co potem ze mną się stanie...

O SERCE!

O serce, serce ty moje,
Nieszczęsne serce człowieka!
Cokolwiek dzisiaj ukochasz,
Jutro od ciebie ucieka.

Daremne wszystkie zabiegi
I prośby próżne, bez skutku.
Pieśń jedna cię nie poniecha,
Głucha, bezbrzeżna pieśń smutku...

Poronin 1911.



JAN KLECZYŃSKI.

JULEK.

(PORTRET WSPÓŁCZESNY).

III.

Jadzia.

Julek stał się pierwszą osobą w domu. Pytano go się, co chce na obiad, gdzie woli siedzieć przy stole, łóżko słano mu zawsze ze trzy razy, nad czem radziły matka, Wandzia i Cesia, wyprawiano go na spacery, przestrzegano, żeby się nie męczył czytaniem, ani rysunkiem, prowadzono do znajomych, lub zapraszano ich dla niego. Matka mu nawet chciała przynosić do łóżka ranne śniadanie, ale przeciwko temu już stanowczo zaprotestował. Męczyło go towarzystwo, złościło, ale też bawiło i — do dyabła — trochę rozczulało.

Ten psi sentymentalizm — mruczał do siebie — może doprowadzić do samobójstwa.

Miał uczucie żołnierza, którego wyprowadzono z szeregów maszerującej armii i uwikłano w wygody. On tu gnuśnieje, a tam wre już może bitwa? I za to musiał być wdzięczny. Zresztą nie znosił żadnych usług.

W pierwszych dniach nic jednak nie zrobił, żeby się zbliżyć do „swojego“ świata. Czuł tylko, że go ogarnia coraz większe zdenerwowanie i coraz większa niepewność, co robić? — On chciał walczyć i pracować, wiedział, że tu są góry do przebycia,

Ale wprzód trzeba było załatwić jakieś rachunki ze sobą — jakie? — nie wiedział. Jego stosunek do domu miał w sobie niewytłómaczalną fałszywą nutę — co to było? W nim był ten fałsz, czy w nich? Za wiele czy za mało o nich dbał? Zresztą to było ogólniejsze, nietylko domowe. Wiedział, że jeżeli pójdzie do nich, do swoich, to jakoś inaczej będzie z nimi rozmawiał — oni wydali mu się jeszcze wyżsi, niż przedtem — tacy inni od niego — były w nich nuty, których w sobie nie miał — ludzie jednolici, całą duszą oddani idei — a on?

Nigdy przedtem nie wątpił o sobie w tym względzie. Czyżby już się chciał cofać? — czy to wpływ więzienia?

O nie, raczej przeciwnie — odwaga i siła

w nim wzrosły — chciałby robić tyle, tyle — tylko w sobie czuł to coś nieokreślone, które go napawało strachem i odrazą do siebie.

A zdawało mu się, że jest dla siebie księgą otwartą — tak się sobie nieraz podobał, pogardzał ludźmi.

Rozpoczął studya malarskie u znajomego malarza, który zbierał u siebie komplety.

Szło mu świetnie, uczył się szybko. Barwy i kształty wnikały mu w mózg prawie bezwiednie i zjawiały się w wyobraźni na zawołanie, tak, że w domu powtarzał na pamięć swoje studya lepiej, niż tam z modela.

Wieczorami zabierał się do czytania. Ponieważ pragnął poznać filozofię, więc czytał Wundta — bo właśnie znalazł Wundta — u siebie na biurku. Ale czy to było bardzo nudne (rzecz wysoce prawdopodobna), czy też myślał o czem innem, dość, że ustawicznie tkwił na tej samej stronicy, szarej i drobiazgowej, jak cała książka i ogarniała go nieprzezwyciężona senność. Wtedy przychodziła najczęściej Cesia słać łóżko, więc zawiązywała się rozmowa daleko bardziej zajmująca niż cały Wundt.

Potem Cesia mówiła „dobranoc panu“ — i szła do siebie, a on codziennie się namyślał, czy objąć ją wpół i pocałować, czy nie? Zawsze jakoś dochodził do przekonania, że nie, ale po odejściu Cesi bardzo tego żałował. Ale wtedy zarazem czuł jakieś zadowolenie, że jednak jeszcze nie — i — uważał się trochę za tchórza, tembardziej, że krew mu uderzała do głowy, a Wundt stawał się wprost niemożliwym do zniesienia.

Myślał więc o Cesi, która spała zaraz za ścianą i natychmiast ogarniał go niepokój. Tu znów coś było z nim nie w porządku, on zaś starał się to bagatelizować.

Także miał się nad czem zastanawiać. Każdy chłopak czuł przecież w sobie wolę bożą, a on miał chwała Bogu lat 19, chyba nie było na świecie żadnego człowieka, któryby w młodości dziewczyn nie widywał. Czemu on się właściwie waha? nie pierwszy mu to do licha. Cesia wygląda na to, że ona.. owszem — więc o cóż chodzi? Jej też się nudzi — a do niej tak blizko — Mój Boże, czyż to Szekspir nie używał w młodości jak pies w studni? A Byron? Każdy człowiek wolny wogóle, bez przesądów... A on co? Jemu wszystko wolno — on, Juliusz Bielski, on, taka wyjątkowa organizacya... Ludzie wogóle nie rozumieją życia. Trzeba brać rzeczy po prostu, tak jak są. Bez sentymentalizmu. To najważniejsze. Oglądać się wiecznie na to, że temu się stanie krzywda, tamtemu się wejdzie w drogę — do dyabła, można by w takiem życiu zczeznąć i nic nigdy nie zrobić.

Przypomniał sobie cytatę Stawrogina ze „Zbrodni i kary“: „Ça lui fait tant de plaisir et pour moi si peu de peine“ — ach, żeby on to mógł powiedzieć Cesi.. ona by to w lot zrozumiała... i zastosowała, a wtedy —

— Moja Cesiu — dla ciebie „si peu de peine“...

Śmiał się szeroko.

— O, czegoż się tak śmiejesz, widzę, że nareszcie masz weselsze myśli — rzekła wchodząc do niego siostra.

Julek mieszkał w przechodnim pokoiku koło kuchni za parawanem. Była to ciasna norka, w której jednak można było pracować we względnem, lecz wystarczającem odosobnieniu.

Wejście siostry ożywiło Julka. Śmiejąc się jeszcze podał jej jedyne krzesło, a sam usiadł na łóżku.

— Przypominam sobie różne kawały z dawnych czasów.

— Lubisz wspomnienia? — zapytała z zaiskrzonemi bólem oczyma, lecz z uśmiechem.

Julek zmieszał się.

— Co — więc ty już masz wspomnienia? — nie wiedziałam — próbowała żartować. No, przyznaj się, — eh, zresztą wiem doskonale o jednych złoto-zielonych oczach... pamiętam, opisywałeś je w tym dramacie, który mi kiedyś czytałeś. Cóż, teraz już nie pisujesz — tam były niezłe rzeczy. Ale zrobiłeś lepiej, żeś się wziął do malarstwa. Literatura — to coś marniejszego.

— Tak, może być... Nie zajmuję się tem już wcale — zapomniałem o tej grafomanii.

— Więc cóżeś myślał o złoto-zielonych oczach?

Julek zaczerwienił się ze wstydu.

— Słowo ci daję, że teraz o tem nie myślałem.

— To lepiej. Ona i tak za mąż wychodzi.

— Tak? — zapytał, blednąc.

— Jeszcze o niej myślisz? Romantyku. Nie warto myśleć o tem, co niemożliwe. Ja już o tem nie myślę — i dobrze mi.

Roześmiała się sztucznie. Po twarzy jej spływały łzy. W żółtem oświetleniu lampy naftowej wydawała się jeszcze bardziej cierpiącą.

— Czy to już zupełnie zerwane — zapytał nieśmiało Julek.

Wandzia wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

— Każdy jest kowalem swego szczęścia — rzekła jakby z cynizmem.

— Możnaby to jeszcze naprawić?.. co?

Siostra, co było jej zwykłą manierą, znów roześmiała się i rzekła drwiąco.

— Po co? Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Sama sobie zrobiłam trumnę, — powiadam ci, taka wygodna — aa.

Otarła łzy i wstała. — Jej pełne czerwone usta drżały, oczy lśniły, — była prawie piękna — pomimo nieco śmiesznego zadartego nosa.

— Ech, co tu o tem gadać. Albo się kocha, albo się nie kocha. Ja widocznie nie — nie: więc nie mam się czem martwić. —

Chciała wyjść, ale potem siadła.

— Wszystko jedno. No, ale powiedz mi teraz Julku, czy ty rzeczywiście jeszcze się durzysz? Bo nie przypuszczam, żebyś się kochał. Wogóle nie warto, a zresztą to jest zajęcie dla kobiet. Wy „działacze“ — wy nie macie na to czasu. — Nie gniewaj się, przecież nie kpię z ciebie. Ale doprawdy, nie rozumiem po co wam te demonstracye — co to za cel? — zmarnowanie życia — ach, jacyście wy wszyscy głupi. Całą młodość poświęcać — o sobie lepiej pomyśleć. Gdybym ja w pewnej chwili na nic nie zważała... ot, co tam. Jesteś za mało egoistą.

Julek zaczerwienił się. — Może to właśnie największy egoizm robić to, co sprawia radość

najwyższą mojej duszy — dać się zabić bywa radością.

Julek sądził, że był teraz bardzo szlachetny — wiedział, że właściwie mówi coś wysoce problematycznego, ale przecież inaczej przyjąłby komplement Wandzi za dobrą monetę, tak zaś dał dowód skromności — był jakimś „nadegoistą“... W jednej chwili spostrzegł się jednak, że on właściwie pochwalił się jeszcze bardziej — ale co tam. Zresztą to było zgodne z jego „teoryą egoizmu“ — i to go natychmiast uspokoiło.

— Paradoks — rzekła naiwnie Wandzia.

Julek byłby wszczął na ten temat dyskusyę, ale teraz jeszcze bardziej, niż o swoją teoryę chodziło mu o Jadzię — a raczej o to, żeby Wandzia wiedziała, że i on cierpi, że ma ranę w duszy i że teraz dowiedział się od niej o n i e s z c z ę ś c i u.

Więc zamyślił się jak mógł najsmutniej i umilkł.

— Niech ona się sama domyśli — przemknęło mu niewyraźnie przez głowę.

Ale Wandzia domyśliła się tylko nawpół.

— Więc ty się jeszcze durzysz — rzekła opierając się w zamyśleniu na stole. To dziwne. Myślałam, że ci już dawno z głowy wywietrzało.

— Dlaczego mówisz — „durzysz się“? spytał z pewnem wzruszeniem Julek. Ale to było jakieś dziwne wzruszenie — właściwie oczekujące stanowczej odpowiedzi, czy jego miłość istotnie jest miłością, czy nie. Wyczuwał instynktownie, że Wandzia, pomimo słabości, jaką okazała, naprawdę kochała.

(C. d. n.)



JULIUSZ KADEN.

STATYSTA.

Nareszcie młodszy brat odłożył kielnię i porozumiewawczo gwizdnął na starszego. By wytchnąć cokolwiek odwrócili się tyłem do muru i z wysokości rusztowań spojrzeli na miasto.

Objęte bujną zielenią, wśród rozlewnych błoń leżało, jak na szmaragdowym aksamicie ogromny krwawnik. Tu i ówdzie sterczały krępe kopuły, niby pięście w żelaznych rękawicach. Tu i tam biegały śmigłe wieżyce, pokaleczone gryfami klamer. W różowych łunach zachodu grały płomiennym blaskiem pod niebo wzniesionych monstrancyi.

Aż nagle gorący promień słońca nakazał godzinę zegarom miasta. Głosem piersiowym, przekonanym stwierdzały ją poważnie. Przecknęło się dźwięczne błogosławieństwo dzwonów. Zakwitły poufne litanje na Anioł-pański. Niby ochronny miecz niestrudzonego rycerza-stróża zabłysł wysoko szparki hejnał, złocistym głosem rozciął otchłanną świadomość nieba i złożył w niem tajemnicę nowej godziny.

Wraz z końców miasta podniosły się jęki fabryczne. Chwalebny splendor dzwonów utonął w gęstym odmęcie.

Rusztowania pustoszały. Pustka szła szybko z piętra na piętro, goniąc robotników na podwórze. Stąd oprószeni wapnem i cegłą jak żywe rumowisko wysypali się na ulicę.

Dwaj bracia murarze prędko przekąsiwszy ruszyli ku miastu. Zatrzymali się chwilę na rynku przed pamiątkową płytą Bohatera. Widać dziś wypadała rocznica, bo płytę otaczał rząd złotych świateł. Drżały, jak otęcz, nizana z łez. Przez kamień napisem zryty, nito przez ryngraf szczerbiony, nito przez pierś w bólu skamieniałą płynęła krwawa struga czerwonej wstęgi.

Minąwszy przestronną szkatułę Sukiennic szli prędko, nigdzie się nie zatrzymując. Wkrótce wyłonił się teatr z pośród drzew. Szary, biały, popielaty do rozłożystej zieleni jak ślimak do murawy przylepły i dwiema figurami przyczółku, rzekłbyś parą rożków chełpliwie w niebo zwrócony.

Jak się to stało, że się do tego teatru dostali i do tego przedstawienia — sami nie wiedzieli. Czy, że ich raz ten gruby sekretarz z oczami prosiątka zdybał i zamówił, czy z koleżeń-

skiej porady — sami nie pamiętali. Ale od tego czasu niejedno już wypadło im przedstawiać i chyba niezgorzej, bo woźny przy wypłacie zawsze na drugi raz zamawiał.

Już chodzili poprzebierani za cudackich fagasów, w babskich pończochach aż po pas, w kubrakach czarnych, powieką różowego atłasu łatanych. Snuli się koło księcia złotowłosego w czarnej odzieży, lecz które było mściwe i niezaradne. A pod koniec trzymał młodszy murarz na pluszowej poduszce dwie cienkie szpady, cieńsze niż śpikulce akcyźników. Trzymał je w zgrozie wielkiej, bo się książę z bratem dziewczyny pogryzł a o ojca ze wszystkimi na śmierć się pobił. Dopiero inne rycerze zjechały, aby z trupów nauka wyszła, że gdzie się dwóch bije, tam trzeci korzysta.

Już przedstawiali murzynów zamorskich z białym zawojem na łbie, niby kremowa tubka, a umazani na czarno. Witali na wyspie murzyna, co wyleciał z za kulisów w białem pierzu, wzburzony, jak indor. Wyleciał, czarnemi pięściami tłukł się w srebrną zbroję i gadał na prześcigi i słodko obejmował Młodą, nadobnie płaczącą. Ale miał murzyn parszywego robaka w piersi. Póty się ciskał i miotał zazdrośnie, póki całej tej białej narzeczonej w łożnicy nie zadusił.

Już i do głosu ich przypuszczano, gdy chodziło o uczonego Żyda, co się przebrał za kawalera w pończochy, w aksamit i w długie włosy. On się na ganku odrzekał wszelkiego pisania dla swojej narzeczonej a oni stali wtedy w kącie przy sznurach, obok strażaka. Zaś przy nich ten z książeczką, na której ma wszystkie głosy zapisane. — Ryczcie, gdy dam znak — powiedział — jakby wam przy wypłacie koronę oberwano. — Więc gdy ryknęli, to aż się ten sprawiedliwy żyd na ganku za głowę chwycił i uciekł.

Zgoła nie wiedząc, co się dziś będzie przedstawiało i czy zdadzą się na co., weszli w podwórze. Tu zaczekali z gromadą innych chłopaków, taksamo łasych na ten teatr.

Z pod rozkraczonej bramy wytoczył się gruby sekretarz, końcem laski uśmiechniętych chłopców przeliczył i wpuścił do wnętrza.

Czarnymi schodkami pomknęli w górę na długi korytarz. Ciemno tu było. Tylko gdzieniegdzie u powały trząsł się nikły płomyk gazu.

Trząsł się niesamowity niby z murów wylęgły podstępny zaczyn pożaru. Drzwi szarpane przeciągiem raz po raz waliły za bieżącymi twardo i głucho. Rzekomo wieka trumienne, któremi jakiś sowizdrzał w rozkręcie korytarzów zabłąkany wali brawo. Zaś wtedy płomyki gazu, jak spojrzenia przyłapane na bezwstydzie — gasły obłudnie.

Spłoszone myszy i szczury z piskiem uciekały na boki między pajęczyną obrosłe, włochate pachy poziomo złożonych dekoracyi.

Statyści przeszli w górę, na lewo ku warsztatom krawieckim. Leciał stąd nieustanny spazm pośpiesznych maszyn.

Zatrzymali się dla oryentacyi. Na korytarzach wciąż hukał oklask trzaskających drzwi. Z sufitu, nad którym ciągnęły się dekoratornie, spadał miarowy tupot stąpań. Ciężkie kroki ołowianym tętnem niosły się po całej budowie, wypełniając głuchymi jękami zimne czeluście podsceny.

Zciszywszy kroku, pełni nieświadomego lęku zeszli ku scenie. Rozwarła się przed nimi głęboka otchłań. Niby łyko obdarte z uschłych gałęzi zwieszały się nad nią pokurczone łachmany dekoracyi. U przodku nad budą suflera, sklepioną w kształt mogiłki, tkwił wysoki, ostry pazur żelaziwa. Drżał na nim zwiewny trójząb gazowego płomienia, jak sine serce, złotym blaskiem gorejące.

Naprzeciw rozwierała się widownia. U dołu gęstą broną krzeseł zalegał parter. Powyżej nito żuchwy, czy dziąsła szczerzyły się podkowy lóż. Jak z przeogromnego podniebienia złoty sztylet o kryształowej rękojeści — sterczał ze stropu olbrzymi świecznik. Czerwone promienie słońca darły się w pryzmatach kryształu, ciskając dokoła tęczowe bryzgi. Któryś z nich padł na głowę Karyatydy, dźwigającej amarantową szczękę lóż. Kamień ożył w tym blasku.

Zdawać się mogło, że sama Tragedya żywa i naga ugina się pod naporem. Że na widok szponu, co wyrósł z suflerskiej mogiły i dzierży sine, gorejące serce, podniosła ramiona, niezłomne dłonie w ognistych włosach zatapiając.

Z galeryi leciało echo zamiatania i kołatanie szczotki w drewniane narożniki ław. Przywidzieć się mogło na scenie, że paszcza widowni czeka martwą nudą.

Inspicyent ustawił statystów, rozdał im „pierwszy“ „drugi“, sprawił w dwójki i skomenderował po żołniersku. Przykazał, aby w szeregu stali cicho, by rąk do kieszeni nie wsadzali, by się żaden nie skrobał, nie czochrał i w nosie nie dłubał. Przebierać się będą dwa razy. Raz za polskich żołnierzy, a drugi raz połowa za moskali połowa za kosynierów. Broń prezentować razem, rurę w obu garściach prosto przed nosem trzymać. Jak się z kosami obchodzić mają — wiedzą. Ale nie zabardzo wymachiwać — by kulis nie uszkodzić.

Podczas tych manewrunków i nauk szary łach kurtyny zaległ między sceną a widownią.

Maszyna elektryczna kopała już na dobre, w tył podane ciemię budowy. Wspłonęły wielkie gruchy reflektorów. Zabłysnął podłużny pas świateł nad sceną. Między skrzywione żebra kulis chlusnęło światło. Wypełźli maszyniści w niebieskich bluzach, klnący na umór. W głębi rozwinięto krakowski rynek z piernikowemi Sukiennicami. Z flanków wyskoczyły wąziutkie domki, osadzone w grubych zawiasach.

Ktoś brząkał w grube żelazne sztangi próbując „głosu dzwonów“. Technik majdrował wśród elektrycznych trestek, zalewając scenę co chwila „biteoną“ czerwienią.

Statystów odprowadzono do szatni. Tu krawiec, rozglądnąwszy się we wzroście, wybrał dorodniejszych do pierwszego szeregu. Ci dostali lepsze mundury.

Spodnie mieli białe, żółtym szwem przejechane. Kurtki granatowe z żółtymi rabatami. Do tego szły wielkie czarne czaka z białymi orłami.

Tych z pierwszego szeregu fryzyer odmalował cokolwiek. Dostali czarną krychę marsową między brwi i sute rumieńce. W rekwizytorni rozdano im karabiny, poczem wyszli za kulisy.

Młodszy murarz, podmalowany, bo go wybrano do pierwszego rzędu, kręcił się bez celu,

to patrząc na ludzi, to jeszcze sztyftując mundur. Obciągał kurtę, trzepał się na ramionach z dbałością wielką — że to dziś polskiego żołnierza przedstawia. W strachu tajemnym począł szukać miejsca, gdzieby można było te różne ruchy jeszcze raz przepowiedzieć.

Bo wszyscy próbowali. Jakiś stary ojciec w szlafroku, pludrach zakrótkich i w siwej peruce wciąż kłaniał się powietrzu, mamrotał coś i mizdrzył się. Drugi mieszczanin w czamarze mówił mowę na środku sceny i śmiał się do samego siebie. Ze wszystkich kątów, dziur, nor, izb i skrytek leciały próbujące słowa, na wszystkie sposoby wykrzywiane.

Statysta poszedł w głąb za płótno z wymalowanym rynkiem. Tu, za figurą egipskiego bałwana, któremu ktoś wetknął papierosa w tekturowe usta, skrył się. Lecz przepowiadać trudno było. Z tyłu dolatywał galop maszyn, z za płótna całe urwanie głowy wszystkich maszynistów, a największa przeszkoda, bo pokusa była w kulisie.

Tam, z boku, przy drewnianej armacie stała aktorka bardzo piękna. Zwracała się ku jakiemuś panu, rękę białą położywszy mu na ramieniu, kręcąc szpicem złotego trzewika, co niby łeb żmii wychylał się z pod obrębu sukni.

Lecz statysta odwrócił od niej spojrzenie zakłopotane. Stanąwszy za figurą wywołał w sobie głos komendy. Ciarki go przeszły. Patrząc przysiężnie w ślepie bałwana przemaszerował. Dobrze szło. Ucapił karabin aż drzewo mlasło i sprezentował broń. Nie bał się już o siebie.

Ale cały szereg? Bo jeśli przy „w tył zwrot“, jeden się w prawo wykręci a drugi w lewo, to w ruchu się spotkają. I już nic wtedy nie pomoże, bo cały honor obrotu złamany będzie.

Jako „pierwszy“ poszedł szukać „drugiego“ i wyłuszczył mu całą sprawę.

Tymczasem dzwonki zatelegrafowały we wszystkie strony. Cicho się zrobiło za sceną.

Statystów zgoniono do kupy. Ukryli się daleko na schodkach, skąd widać było wnętrze baletowych szatni. Tam na ścianach, jak srebrne ćmy lśniły koliste spódniczki tancerek.

Trzy dzwonki syknęły jeden za drugim.

Dał się słyszeć gęsty szum płótna, niby szelest ogromnej fali, czy głębokie westchnienie. Kurtyna poszła w górę.

Ciemno w oczach zrobiło się statyście. Chyba, że to z jego piersi ktoś zdjął pokrywę. Chyba że to z jego serca poleciała w górę zasłona... Na wnątrzu rozpalił się żar dziwowiska,

Już gadali na scenie.

Słuchał pilnie, czy się aby ten głos tam nie rwie, nie nazbyt strzępi, czy dobrze się wiąże i stale trwa.

Dopiero po chwili uspokoił się: Głos płynął, wiązał się równo, rozwijał sprawę i służył jej. Dział się różnolicie, to płynny, to w górę wykrzyknikiem zadarty, to szybko karbowany sztywną falbaną śmiechu.

Z westchnieniem zsunęło się płótno kurtyny. Z tamtej strony padło na nią kołatanie oklasków.

Na scenę skoczył tłum rozjątrzonych maszynistów. Powynosili gniewnie ściany pokoju, uprzątnęli meble, które po zniknięciu ścian znalazły się były samotnie na środku rynku.

Żołnierze stali teraz za kulisą z oficerem na czele. Na scenę wyszło mieszczaństwo, wszelakie baby i łyki.

Wzleciała kurtyna.

Statysta odwrócił głowę od widowni. Nie patrzy tam. Tylko waguje się w nim ta sprawa publiczna, niebezpieczna, strasznie honorna. Że to zaraz z białym orłem na łbie wyruszy.. Poziera na towarzyszy. Lecz ci nie chcą mu patrzeć w oczy, a uśmiechają się głupio i wstydliwie.

Na scenie przybywa hałasu. Mowa zatacza coraz szersze kręgi, wszystkie usta zapala, na wszystkich kwitnie.

Nie wiadomo kiedy całe mieszczaństwo do murów domów szarym drżącym łachmanem przywarło i woła ku żołnierzom w kulisy. Woła, chustkami macha, z nogi na nogę radośnie przestępuje, tacza się, słania i płacze.

Nagle! Czy z nieba, czy z piekła, z dali, z bliskości, z boku, czy z samego serca wrzasły bojowe fanfary trąb. Kłębią się, pietrzą niezmierną chwałą wzdęte.

W oczy statysty leci blask wyciągniętej szpady, źrenic dotyka, światło wojenne wskrzesza.

Zjeżyli się karabinami.

Głos rodzonej komendy z miłosną mocą pada na głowy.

Idą!

Głębie sceny dudnią pod nimi, niby te wieki niewolne, co wyzwolenia czekają — niewyzwolone.

Fanfara rozwołana, okrutna, głośna, pcha ludzi naprzód, skrzydłem wojennego pozwu gna i nad głowami furczy.

Muzyka — złoty dym pali w uszy.

Żołnierze maszerują prosto w otwartą paszczę widowni. Mnóstwo ruchomych kłęków chwieje się w jej czerwonych dziąsłach.

Aż oto wszystkie cztery podkowy obiega wielki jęk. Zrywa się nawałnica wołania i trzask brawa.

Kwitnącym płotem barw stanęli żołnierze pod płóciennemi sukiennicami.

Stoją. Tężą się. Nad głową każdego czuwa z kasku biały orzeł. Czarnym rzemieniem twarze opasał. Rzemienie w szponach dzierży. Lica wojaków trzyma na uwięzi.

Z przeciwka szlocha widownia tkliwą rozpaczą.

Lecą pioruny rozkazów.

Statysta daje front z całych sił, z całego serca, z całej duszy. Obcas o obcas gniecie, sprężył łydy, w służbistym wysiłku jabłka kolan uniósł ku górze. Karabin trzyma krzepko, aż lufa się wzdraga

W pasiastem odzieniu zjawia się sam naczelnik.. Za nim generałowie..

Zaczynają dzwony na wieżach. Małe bractwo uderzeń, wzruszone łka i płacze. Większe szumią, jeszcze większe, uderzają w głos potężny.

W oczach statysty mąci się coś i na dwie drogi rozbiega. Na jednej stoi całe życie, skupione w hołdzie broni. Na drugiej leci jakoweś ptactwo niebywałe, niezliczone.

Naczelnik rozwinął pergamin i ciska z niego na lud pożywną mannę odkupujących słów: Ja — Tadeusz — Kościuszko — —

Front ci trzymam, szepcze dusza. — Tyś Tadeusz Kościuszko..,

Dusza kona w zachwycie.

Ptactwo leci, między dzwonami szybuje.

W oczach rodzi się odnowa stare miasto. Wie, poco wyciągnęło pięście kopuł ku niebu. Przysięga na kamienną nieustąpliwość. Przysięgają pod niebem wielomowne głosy dzwonów.

Niby to widzi statysta, że tam za sceną andrus w jęzory żelazne tłucze, że w udaniu tu wszyscy stoją na pochyłych deskach.

Ale czuje, że dzwony jak serca tłuką się w śmigłych wieżycach. Że stoją tu na rynku Polacy i przysięgają.

Strugi zimna i gorąca drą wyprężoną pierś.

Znów słychać stada ptaków, co białą chmurą lecą ludziom na oczy.

Lecą po stare szpony w budowie miasta pozostałe. Lecą po stare szpony, zbroją się.

Naczelnik wyśmignął z pochwy krzywą szablę. Przysięga na nią.

Karabin drży w ręku statysty, a serce krwawym błamem do szabli się tuli. Do ust naciśniętych milczeniem współprzysięgi, przez róż i szminkę lecą, gęste, gorzkie łzy, wzięte niespodzianie ze srogiego wstydu. W oczach zmętniałych rozchylają się twarde szczęki widowni, gną się w tęczowe podkowy. Strzępi się tam zgiełk białych dłoni, szybko bijących.

Nie dłonie to są! Przysięgą zwołane zleciało ptactwo białe, na tęczowych kręgach bożego sądu usiadło i trzepoce radośnie orlemi skrzydłami.

Spadła kurtyna.

Statysta uciekł w swój kąt i schronił się koło kolan egipskiego boga. Czeka, póki z niego ten war udania nie wyparuje. Lecz oszukało się udanie samo na sobie...

Zaczekał aż się inni z przebraniem ustatkowali a wtedy sam się też przyodział w sukmanę, krakuskę i pas nabijany. W garści kosa.

Łazili tu i tam. To znów czekali na ukąszenia dzwonków wzywających. Wtedy walili na scenę za Naczelnikiem w trop.

Aż nadeszło, że się z moskalem zewrzeć mieli.

Koniowi Naczelnika murarz-statysta, że się był na koniach znający — szmatami kopyta owiązał.

Wszystko gotowe. Z tamtej strony wytoczyły moskale wielkie armaty drewniane, na mosiądz umalowane.

Ten w cylindrze, z książeczką, jednych poukładał, jako już zabitych, drugich przy armacie dla obrony. Polskimi trupami też sowicie scenę potrząsł, surowo przykazując. by się już za podniesieniem kurtyny nie ruszali.

Z wielkiem zmartwieniem dojrzał statysta brata starszego między moskalami.

Pstryknęły białe lampy i zgasły. Puścili całą rzekę czerwonych promieni. W kątach zaskwierczał biały proszek i za chwilę gęstym dymem owionął całą scenę.

Naczelnik konno stał w głębi, szablę zaprzysiężoną w garści dzierżył z tem, że gdy nią machnie, kosyniery w kulisie ukryte wyskoczą na armaty.

Podniesiono kurtynę.

Z bębnów wypruł się prędki werbel. Huknęły karabiny. Ostry pisk zwierających się stali przeszył powietrze.

Z widowni buchnął szum. Bitwa trwała doskonale. Szum rósł coraz głośniejszy. Gdy w tem Naczelnik błysnął szablą w powietrzu wołając: „Weźcie mi to dzieci!“

Oberwało się wszystko na wnątrzu statysty. Tam, na widowni popłoch niezliczonego ptactwa. Tu, pyski armat. A na armatach zielone sołdaty!

A na sołdatach zieleń!

A zieleń porwana z krakowskich błoń, kradziona!!

Złupiona zieleń ziemi zagrabionej!!!

Zagrało w nim to wielkie, ogromne, okrutne, to bezbrzeżne, nieogarnięte — morze.

Zaś kosyniery frunęły już ku armatom.

Więc on za nimi.

Już nie pamiętający, że wrzeszczeć zakazano, z wrzaskiem przeraźliwym — machając w porywie kosą, niby wiatrak śmigami w wietrze halnym.

Ledwo mu błysnęła w zawierusze twarz brata w zieleni sołdackiej. Ale rozmachem przysiężnym zdławił to „cof się“, co mu się z piersi rwało. Pokopał brata, dorwał się armaty, na drzazgi ją rozwalił i razem z nią runął między kulisy na zimny zewłok w głębiach stojącego, egipskiego boga..

Z PRASY POLSKIEJ.

„POSEŁ LISIEWICZ“.

Warszawski dziennik radykalny, »Kuryer Poranny«, pisze pod wyższym tytułem co następuje:

»W okręgu piątym miasta Lwowa, obejmującym okolice ulic Akademickiej i Ossolińskich, a zamieszkałym przez inteligencyę urzędniczą i mieszczańską, oraz w części przez sfery robotnicze, wybrany został onegdaj przeciwko narodowemu demokracie dyrektorowi gimnazyalnemu Tomaszewskiemu, dotychczasowemu posłowi do parlamentu, adwokat dr. Aleksander Lisiewicz, członek klubu reformy w Radzie miasta. Jest to pierwszy w Galicyi prawdziwie postępowy poseł do Rady Państwa. Dotychczas przedstawicielką haseł postępowych w Galicyi była tak zwana demokracya bez przymiotników; był to twór naogół biorąc bardzo niewyraźny pod względem kierunku ideowego. W praktyce politycznej demokracya bezprzymiotnikowa bardzo mało się troszczyła o wprowadzenie w czyn haseł postępu w kierunku demokratyzowania urządzeń społecznych i wyzwolenia się pojęć ogólnych z pod przewagi reakcyi. Było to stronnictwo liberalne ze wszystkiemi wadami i zaletami partyi umiarkowanie liberalnych innych krajów świata. Należeli do niego posłowie, którzy równie dobrze zasiadać mogli, a nawet czasem zasiadali istotnie na ławach zachowawczych; tworzyli oni w każdym razie często orszak około wpływowych czynników w rządzie, w Radzie państwa

w Kole Polskiem, a kiedykolwiek działania stanowczego, zasadniczego, w duchu opozycyjnym i reformatorskim oczekiwać po nich nie było sposobu. Prasa tego stronnictwa wewnątrz kraju spełniała nieraz bardzo pożytecznie misyę oświecania umysłów i obrony zdobyczy cywilizacyi współczesnej; ale działalność parlamentarna, a choćby tylko wewnątrz Koła, posłów stronnictwa daleka była od śmiałego wdzierania się na szranki Okopów Świętej Trójcy.

Poseł Lisiewicz jest zdecydowanym postępowcem; fizyognomia jego polityczna zarysowała się ostro i pewnie. Razem z p. Hipolitem Śliwińskim i Gustawem Daniłowskim założył niedawno temu tygodnik »Życie«, w którym rozwinął sztandary ogólnego ideowego wyzwolenia w duchu śmiałego radykalizmu. To też kandydatura jego w okręgu piątym, równie jak i kandydatura budowniczego Hipolita Śliwińskiego w śródmieściu budziły bodaj najwięcej zainteresowania politycznego ze wszystkich, jakie tym razem postawiono we Lwowie. Zdawano sobie powszechnie sprawę, że występuje w szranki żywioł nowy, pełen niepospolitej energii myśli i działania, obcy dotychczas najzupełniej atmosferze życia politycznego Galicyi. Szturmem też odebrał adwokat Lisiewicz mandat dotychczasowemu posłowi wszechpolakowi.

Wybór posła Lisiewicza i prawdopodobne zwycięstwo przy wyborach ściślejszych kandydatury p. Śliwińskiego nabierają tem większego znaczenia wobec zdecydowanej porażki, jaką odniosła przy teraźniejszych wyborach narodowa demokracya. Z dotychczasowego grona siedmnastu narodowych demokratów w Kole Polskiem pozostanie tylko ośmiu rozbitków. Wzmocni się natomiast reakcya, której przybyło nietylko ilościowo sporo głosów, ale także i jakościowo kilka sił niewątpliwie zdolnych.

Rola, jaką przyjdzie odegrać obu wolnomyślnym posłom polskim, zyska dużo na doniosłości wskutek zasadniczej zmiany konstelacyi ogólnej w wiedeńskiej izbie poselskiej. Pogrom partyi chrześciańsko-społecznej przy wyborach ściślejszych wysunie na plan pierwszy w całym parlamencie stronnictwa wolnomyślne. Koło Polskie z większością reakcyjną odbijać będzie od tego tła bardzo jaskrawo, a Polakom wolnomyślnym przypadnie trudne zadanie łagodzenia tych przeciwieństw i pośredniczenia pomiędzy feudalno-klerykalnym nastrojem swoich rodaków a światopoglądem wyzwolonym innych stronnictw izby poselskiej.

Mamy nadzieję, że niedalekim jest już czas, w którym ten duch, jaki dziś ożywia pierwszych wolnomyślnych posłów wiedeńskiego Koła Polskiego, weźmie górę we wszystkich trzech naszych reprezentacyach i w sejmie lwowskim«.

SPRAWOZDANIA.

(j. lips.) **Wacław Grubiński**: Moc kamienna. Spółka nakładowa „Książka“, Kraków 1911 r.

Skoro Przybyszewski ukuł termin „nagiej duszy“, wskazał co prawda nowy, nieeksploatowany u nas teren wysiłków twórczych i poszukiwań, ale sam sobie do owej ziemi obiecanej nie utorował drogi. Wybiegał ku niej tęsknotą, oglądał ją w marzeniach, roił o niej sny gorące i tajemnicze — stał się jednem słowem lirykiem, piewcą wzruszeń, jakich doznawał pod naporem instynktów i nieuświadomionych popędów, stanowiących najgłębsze, kopalne elementy psychiki ludzkiej. Nie umiał jednak Przybyszewski zanalizować i opisać tych sił, które się czają pod progiem świadomości, gotowe wciąż do nieprzewidzianego wybuchu, ponieważ miał naturę nazbyt podającą się i uległą przeżyciom własnym. Dopiero Grubiński odważył się wypłynąć na pełne „mare tenebrarum“ i zarzucić na niem kotwicę.

Obaj: Przybyszewski i Grubiński, blizcy sobie i krewni, jeśli chodzi o pogląd na świat, różnią się natomiast zasadniczo w sposobie reagowania na to, co ich dotyczy. Sztukę Przybyszewskiego — mimo łudzących nieraz pozorów objektywizmu — cechuje to, co według Schopenhauera jest najistotniejszą cechą liryki w ogóle: bezpamiętne kobiece oddanie się przeżyciom i doznaniom własnym, wyrażające się brzmieniem szerokiem i rozlewnem — cudnie bezwstydne, jak śpiew solowy. Grubiński przeciwnie obserwuje tylko chłodnem okiem badacza. Liryzm jego służy mu tylko, jako środek ekspresyi artystycznej, nie posiada sam przez się — jak u Przybyszewskiego — wartości samoistnej. Jest to liryzm nieosobisty, który dzisiaj u nas spotkać można chyba tylko u Berenta.

Grubiński patrzy zawsze oczami swego modela, stwarza w nim czucia, wrażenia, myśli, pożądania zgodne z sytuacyą i stanem psychicznym, w którym tenże się znajduje, zakreślając równocześnie nieomylną ręką błędne koło kolizyi dramatycznej, w którem postacie jego noweł poruszają się jak skazane przez los na zagładę dramatis personae. W tem miejscu nie możemy Grubińskiemu oszczędzić jednego zarzutu. Autor „Pijanych“ zdaje się zapominać o tem, że temperament dramatyczny sam przez się, nie może jeszcze zapełnić luk ani usprawiedliwić dowolności w opracowaniu psychologicznem momentów przełomowych opowiadania.

Grubińskiego zajmuje najwięcej dramatyczny niepokój uczuć żywiołowych, wyrzuconych na brzeg życia wezbraną falą instynktu lub nazbyt gwałtownych i wzburzonych, aby je pohamować mogła refleksya — uczuć, których ofiarą paść się musi, albowiem przeciwny im jest porządek świata, wymagający wtłoczenia ich i skierowania w uregulowane łożysko, którem sobie już potem płynąć mogą gładko i spokojnie.

Posłuchajmy: młodą i piękną panią Natalię zwabiła pokusa dostatków i życia bez troski w sidła niefortunnego małżeństwa. Za poradą matki, chytrej wiedźmy o skłonnościach kuplerskich, poszła za mąż za starego dusigrosza, który pragnął posiadać ją tak, jak posiadał swoje złoto. Zrazu ciągnie z nieprzepartą mocą a potem tem boleśniej odpycha i szydzi z niego wiosenny, odurzający czar pani Natalii, ku której napróżno wyciąga ręce w bezsilnej, starczej pożądliwości. Tak mija jedenaście długich lat w atmosferze obopólnych rozdrażnień, w zaduchu starczej nieufności i źle tajonej nienawiści. Aż wreszcie następują coraz silniejsze ataki kaszlu, gorączka się wzmaga, oddechy stają się krótkie i chrapliwe, zaczyna się obowiązkowe czuwanie żony po nocach przy łóżku chorego, czuwanie złowrogo wyczekujące, by raz już zczezło przekleństwo jej niewyżytych młodych lat. Stało się w końcu — starzec umarł. Pani Natalia przyjęła tę śmierć obojętnie. Nie żywiła niechęci do ostygłych zwłok, lecz raczej podziw dla śmierci i cichą, wdzięczną radość... Odetchnęła z ulgą: już go niema! Wtem do pokoju, w którym leżał trup „wbiegł chyłkiem z opuszczoną mordą Bib“ niecierpiany przez nikogo, obrzydliwy mops, jedyna istota, która umiała się przywiązać do starca, przez niego nawzajem pieszczona na przekór pani Naci i domownikom. Pies podbiegł do łóżka, by przywitać się z panem, lecz skoro zwęszył trupa, „przekrzywił sfałdowaną mordę i rzucił w ciszę przeszywające wycie“. Panią Natę targnęło coś za serce. „Pojęła nagle... zrozumiała!... Coś ją popchnęło naprzód — tępe, poczwarne głupstwo — i z gwałtownym szlochem padła przy śmiertelnym łożu na kolana, okrywając wystygłego trupa ramionami“.

Nadzieja wyzwolenia okazała się złudną. Szczęście pani Naty rozbiło się o „moc kamienną“ psiego przywiązania, bo tak chce dajmonion czy dola — nieodmienne prawo sumienia, w tym wypadku „Dajmonion Bib“, bo i tak sobaczo się ono nieraz wabi.

Następna nowelą p. t. „Jerzy“ jest niezwykle śmiałą próbą psychologicznego ujęcia — we formie aż nazbyt skondensowanej — tragedyi chłopca w okresie dojrzewa-

nia płciowego. To, że szesnastoletni młokos po wyjeździe rodziców, sam sobie pozostawiony i oszołomiony tą pierwszy raz w życiu zaznaną swobodą, rozbija kasę ojcowską, zwabia podstępnie służącą z sąsiedztwa i w nieprzytomnym porywie zmysłów zmusza ją do oddania się — to wszystko jest nie tylko możliwe, lecz ma nawet w niesłychanie subtelnem opracowaniu Grubińskiego znamiona głębokiej prawdu psychologicznej. Niektóre jednak momenty opowiadania, jak mianowicie obudzenie się w Jerzym popędów sadystycznych, zabójstwo dziewczyny, a potem samobójstwo, grzeszą mimo efektów nastrojowych zbytnią dowolnością psychologiczną, ponieważ wkraczają niepotrzebnie w dziedzinę patologii. Błahy na pozór temat ostatniego opowiadania: wyczekiwanie ukochanej — wiedzie nas w najciemniejsze zaułki uczuć tęsknoty i niepokoju, dochodząc do tragicznego wprost napięcia sytuacyi.

Powiedział raz Brzozowski o Dostojewskim, że jego powieści, to tylko w formę opowiadania ujęte dramaty. Takim zakapturzonym tragikiem jest także Wacław Grubiński.

(j. lips.) ANTOLOGIA WSPÓŁCZESNYCH POETÓW UKRAIŃSKICH. Przełożył Sydir Twerdochlib. Lwów 1911. Nakładem księgarni Jana Maniszewskiego.

Pomysł wydania tej książki uważać należy za szczęśliwy. Jedynie bowiem przed konfesyonałem poezyi lirycznej stajemy się świadkami wzruszeń i impulsów, z których rodzą się akty woli, słyszymy, jak dźwięczy ów ton zasadniczy, do którego w hierarchicznem ustopniowaniu, niby w interwałach muzycznych, dostraja się cała wielogłosowa symfonia życia pewnego środowiska w pewnej epoce. Wysokość i barwa tego tonu daje nam miarę wartości nietylko już poetów samych, lecz pozwala również oznaczyć poziom kulturalny narodu, którego oni są dziećmi. W liryce nadto pojawia się najgłębiej to, co jest niejako materyą nieukształtowaną: sam surowy miąższ życia, dający wszakże przedsmak tego, jak wyglądać będzie pełny i dojrzały owoc, t. zn. powieść i dramat — a nawet nauka. Rozumie się samo przez się, że także i swoiste cechy narodowe, urobione pod wpływem trybu życia i wielorakich czynników społeczno-dziejowych, najwyraźniej przebijają się właśnie w poezyi lirycznej.

Nasuwające się samorzutnie zestawienia obecnej poezyi ukraińskiej z współczesną polską, czy europejską wogóle, musimy jako metodę pozytywnie bezcelową, bo przedwczesną, bez dyskusyi odrzucić. Chodzi nam wyłącznie o wyświetlenie motywów psychologicznych, społecznych i filozoficznych, którymi współczesna poezya ukraińska operuje, a nie o środki ekspresyi artystycznej, na ogół zbyt jeszcze prymitywne lub oklepane, aby tutaj szerzej je omawiać warto.

Wybijający się na czoło współczesnej literatury ukraińskiej, poeta niepośledniej miary, Iwan Franko, skarży się jeremiaszowym głosem w „Prologu" na poniżenie dziejowe swego narodu, któremu sądzono „z dawien dawna sąsiadom być pognojem" a wtóruje mu w wierszu „Mój naród" jeszcze smu niejszem słowem, z tego samego domu niewoli idący w świat z pieśnią na ustach Ołeksander Ołeś. — Polska w koncepcyi naszych romantyków była Chrystusem narodów, Ukraina w pieśni ukraińskiej jest narodów Łazarzem. Nawet bunt hardo wśród prób wyzwoleńczych podnoszący głowę, kryć się musi zawczasu w konspiracyjnej trwodze przed zasadzką zbirów carskich.

Poczucie niemocy i wyczerpania sił towarzyszy nieodstępnie wybuchom uczucia patryotycznego w współczesnej poezyi ukraińskiej. Ta choroba uczuć tworzy sobie swoją filozofię rozpaczy, jakąś naprawdę tragiczną konstrukcyę myślową, której przedziwnie zwartym i pięknym wyrazem jest wiersz p. t. „Krzyż" Osypa Makoweja. Tłum na obraz i podobieństwo Męki Chrystusowej krzyżuje duszę ludzką, czcząc krzyż z kamienia i własne kamienne serce, bo

„szubienica dla nich Bogiem
A sam Ty, Jezu, — stój za progiem..."

Liryka egotyczna maluje stany psychiczne przeważnie mało skomplikowane z grubsza i ogólnikowo, nie dbając o świeżość barw ani o plastykę w obrazowaniu. Wiersz natomiast na ogół odznacza się znaczną melodyjnością, dobrze świadczącą o rytmicznem poczuciu pisarzy ukraińskich. „Współczesność' tej poezyi ogranicza się na... wpływach polskich i zagranicznych poetów współczesnych, lub — co gorsza — zaznacza się niesmacznie banalnem opracowaniem modnych a pikantnych tematów (Agatanheł Krymskyj: Z cyklu: Miłość haniebna).

Nader korzystnie wyróżniają się: wspomniany już Iwan Franko, (którego jeden wiersz n. p. sławiący rozkosz miłości żywiołowej, „poza dobrem i złem" stanąć może godnie obok „Maryi Egipcyanki" Kasprowicza), dalej Bohdan Łepkyj, smutny ironista Stefan Czarneckyj, Sydir Twerdochlib, Makowej i inni.

Przekład antologii, dokonany przez p. Twerdochliba, naprawdę artystyczny, wnika doskonale w najskrytsze intencye pisarzy przezeń tłumaczonych. Wybór i układ utworów zdradzają smak wykwintny — strona typograficzna bez zarzutu.

SILVA RERUM.

NON OMNIS MORIETUR... Ekscelencya Głąbiński, zanim jeszcze został ekscelencyą, znany był już ze swych łacińskich sentencyi. Gdy w towarzystwie pewnem syn gospodarza domu ośmielił się bronić w rozmowie przeciwników owoczesnego pana prezesa, pan prezes, pragnąc dać odczuć młodzikowi niestosowność jego odezwania się, z uśmiechem pobłażania wyrzekł maksymę równie piękną, jak cudownie do okoliczności zastosowaną: principiis obsta (tłumaczono dotąd: opieraj się początkom. P. Głąbiński rozumiał: obstawaj przy zasadach).

— Hic, haec, hoc...

— Co to jest?

— Przysłowie!

Szambelan z Jowialskiego znał tylko pierwsze strony Alvara i stamtąd czerpał swoje sentencye łacińskie. Nasz tajny radca z uwolnieniem od taksy ma bogatszy repertuar: liznął kiedyś *carmina Horatii Flacci*. Gdy przeto następca jego w ministeryum, szef sekcyi, żegnał go imieniem personelu grzeczną oracyą, wypalił ekscelencya mowę pełną skromności o łaskach monarszych, które sobie zaskarbił i o sympatyi podwładnych, wsparty zaś o te dwa filary, a zapatrzony w nieśmiertelność, palnął: *non omnis moriar*.

Snać uznaje sam ekscelencya, że to, co stało się w Galicyi w dniach 13 i 19 czerwca, było dlań śmiercią polityczną.

Ale zaiste, miał racyę. *Multa pars sui vitabit Libitinem.* Wzbogaci Bartoszewicza „Perły humoru polskiego". Przyozdobi opinię obcych o politycznych przedstawicielach naszych...

SPÓŁKA WSZECHPOLSKO-SYONISTYCZNA. Czytamy w „Głosie" socyalno-demokratycznym z d. 28 b. m. co następuje:

„Wybory onegdajsze w Stryju przyniosły ciekawe przyczynki do ocenienia, jakiemi drogami chadza „prawdziwie narodowa" myśl polska, ruska i żydowska. Tow. Moraczewski stawał podobnie jak w r. 1907 do ścisłego wyboru z syonistą. Przy wyborach w r. 1907 syonista otrzymał znacznie mniejszą ilość głosów, a i przy obecnych wyborach przy pierwszem głosowaniu otrzymał 1541 głosów, przy głosowaniu onegdajszem 2783 Czyżby w przeciągu dni ośmiu tak się rozrodzili syoniści w Stryju i Kałuszu?

„Nie syoniści dali drowi Reichowi tak poważną ilość głosów, — bo ich tylu tam niema, ale wszechpolacy i narodowi demokraci ukraińscy pobiegli na sukurs koledze nacyonaliście żydowskiemu. Przeciw polskiemu socyalnemu demokracie stworzyła się koalicya nacyonalistów polskich, ruskich i żydowskich i wpólnemi siłami spodziewała się go obalić".

To, że ukraińscy szowiniści popierali na całej linii syonistów przeciw wszystkim stronnictwom polskim, że postępowca polskiego w okręgu I. przywiedli do ściślejszego wyboru, że w okręgu III. i VI. wręcz nienawistnie odnosili się do kandydatów robotniczych, nie jest bynajmniej rzeczą dziwną, a stanowi wymowną ilustracyę do znanej legendy o sojuszu „postępowo-socyalistyczno-hajdamackim".

Ciekawa rzecz, że reakcyjna prasa polska przywarowała do ziemi w sprawie rzekomego sojuszu postępow-

ców i socyalistów ze syonistami. „Słowo Polskie“ starannie skreśla „syoniści“ ze stałego refrenu swej katarynkowej piosenki.

Syoniści bowiem mieli we Lwowie, w Stryju i w Drohobyczu niewątpliwe poparcie wszechpolaków. Zrewanżowali się za nie popierając Starzyńskiego i — wraz z breitrowcami — Skarbka. Przyznawał to półgębkiem sam organ wszechpolski.

Syoniści są pogromieni — wbrew narodowym demokratom.

Żydzi-Polacy wyciągną z tego faktu należyte konsekwencye.

CZELNOŚĆ. „Odmawiamy p. Śliwińskiemu prawa operowania jakiemikolwiek hasłami ideowemi. Potrzebny mu jest mandat, bo jest w złych interesach To jest właśnie nieszczęście, żeśmy tak spodleli, że nie widzimy już różnicy między mandatem politycznym, a koncesyą na szynk“. Słowa brutalnej napaści, krwawej zniewagi, rzucone w „Słowie Polskiem“ z dnia 23. czerwca 1911 r. Nie zdziwiły one nikogo Odkąd narodowi demokraci swojemi czystemi drogami zawędrowali do „spółki prywatnej“ z imci panem Breiterem, ton monitorowy ich organu rzeczą jest aż nazbyt naturalną.

W jakich interesach jest p. Śliwiński, rzecz to ani „Słowa Polskiego“, ani też nasza. To pewna, że on, człowiek pracy, składa na rzecz sprawy publicznej i kultury polskiej ofiary, na jakie niejednego nie stać magnata. „Gdyby ofiarność ta groziła mu ruiną, to w oczach każdego człowieka szlachetnego byłby to tytuł do posłowania lepszy, niż majątek wielki, a z brutalną bezwzględnością zdobywany, mnożony przez sobkowstwo i prywatę. Że „Słowo Polskie“ innego jest zdania — znowu nikogo to nie zadziwi. Innego też popierało kandydata.

Ale o koncesyach na szynki lepiejby milczał szanonowny organ „spółki prywatnej“. Zwłaszcza teraz, gdy eksposłów Fiedlera i Wiącka, nie mówiąc już o Paduchu, o Stohandlu etc. kryminał czeka, a cała wymowa prokuratora Ptasia tyle im pomoże, ile pomogły prof. Rydygierowi szlachetne i wysoce kulturalne wystąpienia „Słowa Polskiego“.

JAK WĄŻ NADEPTANY wije się organ spółki prywatnej pp. wszechpolaków, „Słowo Polskie“.

Porażki, poniesione w walce z t. zw. blokiem potrójnym, wystawia, rzecz prosta, jak klęski moralne... przeciwników. Trudniejsza to operacya, gdzie nad kandydatem wszechpolskim odniósł zwycięstwo kandydat opozycyjny. Nielada trzeba sprytu, aby utratę mandatu w V. okręgu na rzecz postępowca polskiego wytłumaczyć, jako moralne zwycięstwo. Dzień 19 czerwca był tutaj dla endecyi nazbyt widoczną... niemoralną klęską.

Niemoralną, bo w walce tej rzekome »czyste drogi“ tego stronnictwa łudząco podobne były do brudnych zaułków.

Broniono p. Tomaszewskiego aparatem całym nadużyć i korupcyi wyborczej. Użyto młodzików ośmnastoletnich z „Czytelni akademickiej“ do przekupywania wyborców, do głosowania na cudze legitymacye. Wniesione są doniesienia do prokuratoryi o brudne szalbierstwa nietylko przeciw kilku „hyenom“ zawodowym, ale przeciw akademikom-wszechpolakom, przeciw urzędnikowi do tego należącemu stronnictwa. Świadkami stwierdzone będzie, że przekupywano w samym lokalu wyborczym biednych robotników, śpieszących do urny — byli ciemni biedacy, którzy za koronę oddawali młodemu działaczowi wszechpolskiemu kartkę z nazwiskiem dra Lisiewicza, biorąc w zamian kartkę z drem Tomaszewskim. Sam kandydat, nie będący w tym okręgu wyborcą, nieprawnie kręcił się po lokalu przed rozpoczęciem głosowania i porozumiewał się z członkami komisyi... Rezultat był żaden. Ujęto drowi Lisiewiczowi paręset głosów z przygniatającej większości — oto i wszystko.

A zatem... szykuje się protest wyborczy, mający być ową moralną satysfakcyą. Podstawa nader prosta: wszystkie praktyki własne przypisuje się mężnie przeciwnikowi. Zupełnie tak, jak z wyborem Breitera. Dopomógłszy mu do dwukrotnego zwycięstwa, winnym za nie się czyni namiestnika Bobrzyńskiego. Jest metoda w tem szaleństwie. Może zresztą liczą na to wszechpolacy, że ich ludzie, którzy nadużyć się dopuszczali i teraz znajdą się przed kratkami, za odpowiednią zapłatą zeznają, że działali na korzyść przeciwnika. „Ba, nawet w salach rozlegał się brzęk koronówek“ — pisze zacny organ zacnej spółki, w nadziei, że trudno będzie udowodnić, iż koronówki owe pochodziły z kieszeni popleczników kandydata wszechpolskiego. *Messieurs, pas de reveries.* Kłamstwem zajedziecie nie do parlamentu, ale chyba do banicyi moralnej z politycznego życia.

Lecz niezrównana w swoim cynizmie jest inna podstawa zamierzonego protestu. Oto twierdzi „Słowo Polskie“, że w liście wyborczej pominięto mnóstwo osób z inteligencyi (oczywiście przyjaciół p. Tomaszewskiego), że przeszło 600 kart nie doręczono (oczywiście przyjaciołom p. Tomaszewskiego). Wreszcie... że wadliwie zorganizowano proceder głosowania. Skutek był ten, że przyjaciele p. Tomaszewskiego albo zostali pominięci i prawa swego nie wyreklamowali, albo nie upomnieli się z powodu ścisku o swe karty wyborcze w magistracie, albo zniecierpliwili się i bez oddania głosu odchodzili od urny... Zaprawdę była w tem czarna intryga, podstępna rachuba na wytrzymałość fizyczną wyborców postępowych!

Dodać należy, że magistrat przeprowadzający wybory — był pod wpływem wszechpolaków, a do kandydata postępowego odnosił się wrogo. Tem czarniejsza intryga. Tem bardziej zabójczy podstęp. Tem bardziej ugruntowane protesty...

Jedno tylko godzi się przypomnieć.

Przy wyborach do Rady miasta pominięto na liście kilka tysięcy wyborców; przeszło trzech tysięcy legitymacyi nie doręczono żywym powołano zato do urny kilkuset unarodowionych nieboszczyków. Wówczas jurysta wszechpolski dr. Pieracki oraz dr. Piasecki, wszechpolski hygienista, uznali zgodnie, że wybory były jak kryształ czyste, Rada poczęta niepokalanie, nieboszczykom zaś dobrze zrobiła przechadzka po świeżem powietrzu ratusza... Nieugiętą jest konsekwencya pp. narodowych demokratów, a proste jak strzała są ich „czyste drogi“.

TRYUMF PARLAMENTARYZMU. Prąd absolutystyczny, którego narzędziem był baron Bienerth i trzy kolejne gabinety barona Bienertha, poniósł w dniu 13. czerwca straszliwą klęskę. Pierwsi wyciągnęli z niej konsekwencye ministrowie - parlamentarzyści, których stronnictwa — wszechpolskie i chrześciańsko-socyalne — zepchnięte ze stanowiska przodującego w społeczeństwach polskiem i niemieckiem, zapowiadają opozycyę i zastrzegają sobie wolną rękę: dr. Głąbiński zastrzegł sobie przy tem pamięć nieśmiertelną... W ślad za pp. Weisskirchnerem i Głąbińskim poszedł sam bar. Bienerth.

Następca, nowy szef gabinetu, to imię znane dobrze — baron Gautsch. Zręczny i giętki polityk, mąż zaufania korony, powoływany zwykle w sytuacyach trudnych, podjął on już akcyę celem stworzenia większości dla rządu w nowym liberalniejszym parlamencie. Pozycyę jego wzmacnia ta okoliczność, że on to zainaugurował reformę parlamentarną, na równości opartą, że stronnictwa wolnościowe i demokratyczne od r. 1905 zachowały ku niemu sympatyę.

Dla Polaków nadchodzi moment uzyskania należytych i faktycznych gwarancyi w sprawie najważniejszego postulatu krajowego: budowy dróg wodnych. *Caveant consules!*

KOLEJ LWÓW-WARSZAWA-GDAŃSK. Sprawie tej, której doniosłość ekonomiczna i narodowa w oczy rzuca się, poświęca jeden z dzienników warszawskich następujące uwagi:

„Wszystko przemawia za tem, że niebawem nastąpi połączenie kolejowe krajów bałkańskich, głównie oczywiście Bułgaryi i Rumunii z Bałtykiem.

Wszystkie inne koleje tej wielkiej i ogromnie ważnej drogi z Gałaczu nad Dunajem do Gdańska, są już dawno gotowe. Brakuje tylko krótkiego łącznika między koleją Nadwiślańską, a koleją ze Sokala lub Bełzca.

Cierpiała na tem Rumunia, która mnóstwo surowców wysyła do Anglii i krajów skandynawskich, a natomiast sprowadza z nich mnóstwo fabrykatów; cierpiała cała wschodnia i środkowa Galicya, skazana na jedyną eksportową drogę na zachód koleją Karola Ludwika lub Transwersalną; cierpiało Królestwo Polskie, które mogłoby swe fabrykaty wysyłać do Galicyi, na Bukowinę i dalej na półwysep Bałkański, cierpiały miasta Lwów i Warszawa, które dotychczas muszą się komunikować tylko przez Kraków, kiedy tak łatwo można mieć prostą jak strzelił drogę przez Sokal lub Bełzec na Lublin.

Wprawdzie między Lublinem a Bełzcem stale od pewnego czasu kursują automobile, co umożliwia szybką ko-

munikacyę między Warszawą i Lwowem, ale z takiej dość kosztownej lokomocyi mogą korzystać tylko podróżni, dla transportu towarów ona zupełnie się nie nadaje.

Gdyby nareszcie powstała kolej z Bełzca do Lublina lub nieco dłuższa z Sokala do Hrubieszowa, byłaby nieprzerwana linia kolejowa Lwów-Warzawa, nie dłuższa od kolei ze Lwowa do Krakowa. W Warszawie zaczyna się prawidłowa, trwająca co roku ośm miesięcy żegluga Wisłą do Gdańska, a jest i kolej przez Mławę ku Bałtykowi, zatem wszystek ze wschodniej części Galicyi, wszystek bukowiński i rumuński eksport miałby znacznie skróconą drogę do morza i byłby uwolniony od nader dokuczliwej zależności od rynków zachodnio-austryackich i pruskich. Możnaby wejść w bezpośrednie stosunki handlowe z Anglią i Danią, ze Szwecyą i Norwegią, możnaby wytworzyć bardziej ożywione ekonomiczne stosunki z Królestwem, brać od niego tani węgiel, a dawać mu surowce. Oczywiście dla samego Lwowa byłoby to bardzo korzystne, że znalazłby się na wielkiej światowej drodze, łączącej w sposób najkrótszy Wschód turecki z Bałtykiem, a więc nietylko z krajami skandynawskimi i pobrzeżem, lecz także z Danią, Holandyą i Anglią. Dość cicha kolej ze Lwowa do Rawy ruskiej z obu jej odnogami, stałaby się ogromnie ruchliwą, ożywioną, bogatą, co nadzwyczaj korzystnie oddziałałoby na wszystkie sąsiednie wioski i folwarki".

Z RAPTULARZA.

NOWY REKTOR NASZEJ WSZECHNICY. Rektorem uniwersytetu lwowskiego na rok szkolny 1911/12 wybrany został profesor dr. Ludwik Finkel. Nowy *Rector Magnificus* należy do najczcigodniejszych postaci w gronie profesorów naszego uniwersytetu i najbardziej kochanych przez młodzież. Uczony historyk wielkiej miary i benedyktyńskiej iście pracowitości, znakomity badacz epoki jagiellońskiej, twórca monumentalnej „Bibliografii historyi polskiej", nieodzownego fnndamentu dla dalszych badań nad przeszłością naszą; niestrudzony pracownik na polu kultury narodowej, jeden z twórców Towarzystwa historycznego, prezes Macierzy polskiej, łączy prof. Finkel z zasługami uczonego obywatela niezwykłe przymioty charakteru i serca. Przed rokiem zaliczyła go Akademia Umiejętności w poczet swoich członków. Teraz wszechnica lwowska wyborem swoim samej sobie przynosi zaszczyt. *Quod felix fortunatumque sit...*

NARODOWA DEMOKRACYA ZRYWA BOJKOT SZKOLNY! *via* gazety poznańskie rozeszła się wieść, że stronnictwo demokratyczno-narodowe na zjeździe swoim w Warszawie powzięło uchwały, mające umorzyć bojkot szkoły rosyjskiej i wziąć w obronę młodzież polską, uczęszczającą do szkół rządowych najazdu. Nie będzie nikomu niespodzianką owa uchwała, ale nieobliczalne są jej następstwa. Dla polskiego szkolnictwa prywatnego, rozwijającego się pomyślnie w tak opłakanych warunkach, będzie to cios zabójczy, będzie to płaszczyk dla wszelkiej małoduszności i prywaty, *carte blanche* dla dezercyi masowej ze straconych placówek kultury narodowej do potężniejszej i pewniejszej wrogiej ostoi. Tu nie pomogą sofizmaty. Nie pomogą obłudne wezwania do podtrzymywania polskiej szkoły i nie pomoże niemniej obłudne powoływanie się na bezsilną i sponiewieraną reprezentacyę stronnictwa w Dumie. To straszliwa klęska moralna. To wyrzeczenie się drogo okupionych zdobyczy walk sześcioletnich. To kapitulacya „bez zastrzeżeń"!

Przed sześciu laty można było zakończyć strejk z honorem i sukcesem moralnym. Dzisiaj zerwanie bojkotu, to odwrót w rozsypce, z porzuceniem dział i bagaży. Sztab pierwszy rzucił hasło: *sauve qui peut...* Co powie armia? Co powie młodzież polska?

ZNÓW KŁAMSTWA... Że „Słowo Polskie" wojuje kłamstwem, to nie dziw — żyje z tego. Bardziej uderza i żywszą wywołuje reakcyę oszczerstwo, wydrukowane w poważnym organie konserwatystów podolskich, w „Gazecie Narodowej".

Łamiąc ręce nad wyborem posła Śliwińskiego w I okręgu pisze p. Vogel:

„P. Śliwiński przed swoim wyborem, aby jednać sobie głosy polskie, zapewniał, że wstąpi do Koła Polskiego. Teraz po wyborze, tak on, jak i jego polityczny towarzysz dr. Lisiewicz oświadczają, że będą tylko hospitantami Koła Polskiego. Znaczy to, że solidarność Koła, a więc i narodowa ich nie obowiązuje. Czyż nie mieliśmy słuszności, zwalczając kandydatury tych dziwnego pokroju demokratów postępowych?"

Cała powyższa wiadomość jest prostym wymysłem.

Gdyby posłowie postępowi nie zamierzali wstąpić do Koła Polskiego, nie byliby się taili z tem ani przez chwilę. Nie czynią jednak tej przyjemności pp. wszechpolakom i podolakom i są tak niegrzeczni, że rzucą swe głosy i swój wpływ na szalę polityczną reprezentacyi naszej we Wiedniu.

Do p. Aleksandra Vogla, wydawcy i odpowiedzialnego redaktora „Gazety Narodowej", wysłali obaj posłowie dnia 28. czerwca w myśl §. 19 ustawy prasowej następujące sprostowanie:

„Nie jest prawdą, jakoby p. Śliwiński przed wyborem dla zjednania głosów polskich zapewniał, że wstąpi do Koła Polskiego. Nie jest prawdą, jakoby teraz po wyborze tak on, jak i jego polityczny towarzysz dr. Lisiewicz oświadczali, że będą tylko hospitantami Koła Polskiego. Nie jest prawdą, jakoby solidarność Koła, a więc i narodowa ich nie obowiązywała. Nie jest prawdą, jakoby „Gazeta Narodowa" miała słuszność zwalczając te kandydatury i jakoby byli to dziwnego pokroju demokraci postępowi.

Natomiast prawdą jest, że podpisani nie celem jednania sobie głosow polskich, ale z głębokiego przekonania i w myśl zasad programu Polskiego Stronnictwa Postępowego oświadczyli przed wyborem na licznych zgromadzeniach publicznych, że bezwarunkowo wstąpią do Koła Polskiego.

Również prawdą jest, że po wyborze nigdy i przed nikim nie oświadczaliśmy, że będziemy tylko hospitantami Koła, bo nawet do takiego oświadczenia nie mieliśmy sposobności, a wobec poprzedniej deklaracyi, byłoby to wręcz niemożliwem.

Prawda wreszcie jest, że solidarność Koła, a więc i narodowa nas obowiązuje i że nie jesteśmy dziwnego pokroju demokratami, lecz że byliśmy i pozostaniemy wierni zarówno naszemu programowi politycznemu, publicznie ogłoszonemu, jak i przyrzeczeniom wyborcom na zgromadzeniach składanym".

Na polskie Towarzystwo dla niesienia pomocy więźniom i zesłańcom politycznym złożono: w gubernii kijowskiej 26 rubli 25 kop.; Janina L. 15 K; Kółko pedagogiczne w Przecławiu przez Kosińskiego 3 K 50 h; Majochówna 2 K. Wzywamy do dalszych wkładek!

„Życie" wychodzi w każdą sobotę po południu.

Prenumerata wynosi:

	rocznie	półr.	kwart
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier	20 kor.	10 kor.	5 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego nru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce **na 2 i 3 str. okładki 30 hal., na 4 zewnętrznej 40 hal** Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada. Adres Redakcyi i Administracyi: Dąbrowskiego 2. Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 1 przed południem.

Sekretarz redakcyi przyjmuje w poniedziałki, środy i soboty między g. 3—4.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.

Redaktor odpowiedzialny dr. Maryan Kukiel.

ROCZNIK XIII. CZERWIEC 1911.

KRYTYKA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, NAUCE I SZTUCE.

PRENUMERATA WYNOSI:

	w Austryi		zagranicą		w Król. i Rosyi
rocznie	K 20	Mk. 20	fr. 24	Dol. 5	rb. 10
półrocznie	» 10	» 10	» 12	» 2·50	» 5
kwartalnie	» 5	» 5	» 6	» 1·50	» 2·50
Nr. pojed.	» 1·75	» 2			» 1

Adres Redakcyi i Administracyi: **Kraków, Stachowskiego 14.**